

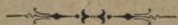


Egz. archiwalny IBL

Edz. archiwalny IBL

UTWORY ARTURA BARTELSA. T. I.

ARTUR BARTELS.



SATYRY.



INSTYTUT

BADAŃ LITERACKICH PAN

BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 77

Tel. 26-68-63



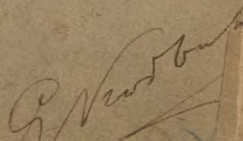
KRAKÓW.

NAKŁADEM K. BARTOSZEWICZA.

W drukarni A. Koziańskiego.

1888.

<http://rcin.org.pl>



K. 978



JA NIE JESTEM POETA.

Ja nie jestem poetą poeta ma wiarę
W siebie, w sztukę i ludzkość — ja jej nie mam wcale,
Poeta z swego życia rad zrobić ofiarę
Ideałom swej myśli, i marzeń swych chwale;
Poeta wszystko barwi duszy swej kolorem,
Światłem swego geniuszu, myśli swej odbiciem,
I rzecz zimną dla gminu robi arcywzorem.
I rzecz martwą dla drugich udaruje życiem.

Moje oko nie takie, i myśli nie wieszczę,
W sobie znam niedołążne i słabe stworzenie,
W sztuce widzę myśl wielką nieskończoną jeszcze,
A za ludzkość dziękuję panom nieskończeniu;
Nigdy ona nie będzie niczem doskonalszem
Jak dziś, — jest pierwszą cyfrą w długim zwierząt rzędzie
I połączona z sobą cementem najtrwalszym
Spółności interesu — kupcem jest — i będzie.

Poetę kiedy rozwój ludzkości zapala,
To z uwielbieniem wielkie powtarza imiona:
Alexandra Wielkiego, albo Annibala
Cezara, Fryderyka i Napoleona;
Ja przyznaję się szczerze, że tyle poważać
Nie umiem owych sławnych świata wojowników
I nie mogę się wstrzymać, żeby nie uważać
Ich za nadzwyczaj wielkich, ale.. rozbójników.

Gdy poetę zachwyca, rozrzewnia i cieszy
 Cudowny postęp nauk, sztuk i wynalazków,
 Gdy widzi jako piorun na głos ludzi spieszy,
 Pełzając ukorzony po dnie mórz i piasków,
 Widzi oba tej ziemi skute z sobą końce
 Żelazem, które para w skrzydła dziś zamienia,
 Jak człek zawładał wszystkim, kiedy nawet słońce
 Użycza mu za pędzel swojego promienia —

Ja widzę rzeczy wielkie, i piękne i śmiałe,
 Która ludzkość mizerna, rachityczna, chora,
 Chwyta z obrzydliwością w swoje ręce małe
 I przerabia na rubla, gwineę, luidora!
 I przyznając, że wielka jest geniuszu siła,
 Nie wątpię, (tak użyty bywa ten dar Boży),
 Że ludzkość by telegraf i tunel zrobiła
 Do piekła, żeby smołę diabłu sprzedać drożej.

W szlachcie widzi poeta potężne tradycje
 Narodu, co tą szlachtą rządził się i wspierał,
 W niej widzi bohaterskie zapalem milicje
 Na które świat chrześcijański z wdzięcznością spozierał,
 Ja widzę panów A. B. C. D. i tam dalej
 Co już między Turkami nie wzniecą popłochu,
 Z których mało uczciwie Pana Boga chwali
 I ani jeden pewnie nie wymyślił prochu.

Poeta kiedy patrzy w obraz jaki dawny
 Widzi, oprócz zawartych w tem płótnie piękności,
 Cały okres tych czasów, w których żył mistrz sławny
 I myślą sięga dziejów tej wielkiej przeszłości —
 Ja znowu kiedy patrzę na obraz Rubensa
 Wspomnienie sławy mistrza w pamięci mi ginie,
 Bo przedewszystkiem widzę te kaskady mięsa,
 Któremi wszystkie jego zdobne są boginie.

I w dalszym mej spowiedzi z kretynizmu ciągu
 Wyznaję na mą hańbę, bo nie na zaletę,
 Że od najślawniejszego greckiego posągu
 Wolą młodą i ładną, żyjącą kobietę;

I nad wszystkie, co geniusz człowieka wyniosły
 Wzniósł z marmuru, granitu, lub spiżu pomniki,
 Milszy mi piękny strumień olszyną porosły,
 Piękniejszy dąb stuletni w puszczy naszej dzikiéj.

Bo to tylko jest piękne, i wielkie i śmiałe
 Co Bóg wszechmocną wolą stworzył i dziś tworzy,
 To tylko niezrównane, i to doskonałe
 W czem widny niepojęty niczem palec Boży.
 I tylko ta natura, z tem pięknem sklepieniem,
 W którem miliardy światów z harmoniją tak zgodną
 Krąży, rzucone w przestrzeń jednym Stwórcy
 [tchnieniem,
 Podziwu jest, uwielbień, i wdzięczności godną.

To mówię do tych panów, którzy pedantycznie
 Zarzucają mi pogląd zbyt lekki na rzeczy,
 Ale ja wolę lepiej uśmieć się logicznie,
 Jak serio doktoralnie. bredzić nie do rzeczy.
 Nie każdemu jest danem tworzyć epopeje,
 Albo pisać gruntownie, i w poważnym tonie,
 Dlatego mi pozwólcie, niech ja się pośmieję,
 Kiedy ja być poważnym nikomu nie bronię.

Poezya rzecz duchowa, to fantazyi dziecię
 Nie znosi analizy, lecz buja i śpiewa,
 Bo jej godłem jest lutnia, co cicha, a przecie
 Zarówno koi ducha, drażni i zagrzewa —
 Poezya zaszczyt czyni, lecz nie rządzi światem,
 Nie jest kodeksem ludów, tylko cnot podniętą;
 I ja uwielbiam cnotę, lecz nie kończę na tem:
 Przedewszystkiem chcąc sensu — nie jestem poetą.

WARJACI.

W mózgownicy człowieka jest celeczka mała,
I do niej kurytarzyk też szczupły i ciasny;
Celka ta wypełniona jest warjacją całą,
Kurytarz pomieszkaniem jest miłości własnej.
Oddziela je od siebie cieniutka przegroda
A im bliżej przegrody, tem warjacja bliżej
I umysł niech raz jeden w tę stronę się poda
Jest na drodze warjacji, i... kłaniam najniżej.

Może być człowiek zacny, rozumny, poczciwy,
Skądinąd pełen zalet, i praktyczny znacznie,
Dość mu raz w kurytarzyk zabrnać nieszczęśliwy
Ni z tego ni z owego w piętkę gonić zacnie;
A broń Boże przewierci choćby małą szparkę
W tem wątem przepierzeniu, już nie koniec na tem,
Staje się, coraz głupstwa przebierając miarkę,
Z półgłówka całym głupcem, nareszcie warjatem.

Przeklęta miłość własna. Znam matematyka,
Który mając aż nadto nauki prawdziwej,
Wpadłszy do przeklętego raz kurytarzyka,
Dostał do wynalazków manii nieszczęśliwej;
Odkrywa nowe siły, wynajduje koła
Jakich dotąd nie było, wymyśla maszyny,
W teorii dziwnie mądre, lecz w praktyce zgoła,
I zamiast sławy, dotąd zyskał ludzkie drwiny.

Znam bogatych szczęśliwych na drodze warjacji
 I bankructwa, pomimo dostatków obszernych.
 Przez szaloną pretensyę do administracyi,
 Przemysłu, handlu, fabryk, projektów niezmiernych,
 Nie głupi, kilka rzeczy wcale nie źle umie,
 I mógłby chwałac Boga, poprzestawać na tem ;
 Nie – chwyta się tej jednej, której nie rozumie,
 I zamiast przemysłowcem, jest tylko warjatem.

Drudzy przez miłość własną w tem szukają chluby,
 Że są w stanie wydawać jak nikt nie wydaje
 Napróżno widzą sami, że lecą do zguby.
 Że im na główne życia potrzeby nie staje.
 Powstrzymać się nie mogą, a głównie im idzie
 Żeby o nich mówiono: ależ traci, traci!
 I gdy na głupi zbytek wydać się nie wstydzi,
 Mięso wzięte na kuchnię najniechętniej płaci.

Innym załazi w głowę wdzięk autorskiej sławy,
 Ten się archeologii, ten historii chwyta,
 Zaniedbuje dom, żonę, najpilniejsze sprawy,
 A pisze banialuki, których nikt nie czyta.
 Rzecz główna, by gazeta o nim napisała,
 (O co u nas niestety bynajmniej nie trudno)
 Ze Litwa tak mądrego dotąd nie wydała...
 Jemu może z tem dobrze, ależ nam jest nudno!

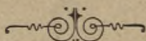
Znam też zwarzjowanego na wielkich intratach,
 A jest to punctum fixum najgłupsze, jak sędzę,
 Żeby o nim mówiono choć w kilku powiatach:
 A niechże go pioruny, ot robi pieniądze!
 Dla tej czarownej sławy, nie śpi, nie dopije,
 Nie doje, nie zna domu, i dzieci, i żony,
 Dniem i nocą na bryce boki sobie bije,
 A w rezultacie codzień bardziej zadłużony.

Albo ci zwarzjowani na szczęściu w miłości,
 Z pod sztandarów Amora weterani owi,

W polkach i galopadach nadpróchniałe kości
 Codziem na nowych balach roztrząsać gotowi.
 Pełen słodkiej ułudy o nowych konkietach
 Wspomnieniami młodości dotąd się kołysze,
 Niepomny, że w mężczyźnie, tak jak i w kobietach,
 To co było a nie jest, w registr się nie pisze.

Znam takich co pracują całemi siłami
 I dochodzą do tego, choć z pracą niezmierną,
 Że są małej parafii oryginałami
 W świecie zaś ledwie kopiją i to dość mizerną.
 Biedacy, gwałt zadając własnej swej naturze
 Ofiarami są tylko oryginalności!
 Znam jednego, co z placu ustąpiłby kurze,
 Z postawą, gestem, mową, pełną wojskowości.

A jaż mądry filozof, co te głupstwa piszę?
 Czy nie mam mojej celki i kurytarzyka;
 Mam, mam -- i nieraz dobrze — bardzo dobrze słyszę,
 Stukanie do przegródki, co warjacji tyka;
 Tylko mam tyle mocy, że chociaż mię nęci
 Chętka zboczyć na chwilę w tę ponętną drogę,
 Po namyśle powracam — lecz pomimo chęci
 Co tam jest w mojej celce — powiedzieć nie mogę.



DAWNE CZASY, DOBRE CZASY.

Słyszę pochwały często czasów dawnych.
Co w nich lepszego było nie pojmuję:
Mało dziś mamy w życiu chwil zabawnych,
Ale by dawniej były też nie czuję,
Tak samo, jak dziś, jedli, pili, spali
Tak się rządzili i tak cięli lasy
I tylko więcej uszu obcinali

W te dawne czasy!

Czy patryotyzm naówczas był wyższy,
Tego nie widzę — mamy jego ślady,
Bo od magnatów do warstwy najniższej,
Wszyscy do kraju należeli zdrady;
Tak samo wszystkim egoizm kierował,
A czy na tronie był Piast czy też Sasy,
Każdy o swoje tylko się targował

W te dobre czasy!

Może moralność, gdzież to ona była
W miastach, nie powiem, bezecna rozpusta
Jak dziś tak dawniej po nich się gnieździła,
Raziła oczy i kalala usta —

A na prowincyi, jak dziś tak i zawsze
Kilku rej wiodło, małpowały masy,
Skarbiąc magnatów względy najłaskawsze

W te dobre czasy!

Nie ukształcenie, bo dotychczas mamy
W wielkich archiwach niezatarte ślady
Światła tych panów — a największe damy
Ledwie list zbazgrać mogły od parady,
Dziś francuzczyznę mieszamy do mowy
Dawniej łacinę — a u wyższej klasy
Z skutków widzimy jakie były głowy

W te dobre czasy!

.....

Weźmiemy równość szlachecką — ciemnota
 Większa jak dzisiaj — pochlebstwo możniejszym
 Prawie bez granic — a największa cnota
 Że się brat magnat bratał z bratem mniejszym;
 Choć na zagrodzie równy wojewodzie,
 Szlachcic brał sute na kobiercu basy,
 A wzięwszy wioskę rzecz kończył na zgodzie
 W te dobre czasy!

Wolności złotej mamy dość owocy:
 Wolność zrywania sejmów i sejmików,
 Wolność spędzania na hulance nocy,
 A dnia wśród intryg, hałasów i krzyków,
 Wolność służenia na magnackim dworze,
 Jedzenia z kotła z kapustą kiełbasy,
 I błaznowania jak pan był w humorze
 W te dobre czasy!

A niepodległość — zawsze ten podlegał
 Kto był uboższy — bogatszy przemagał,
 A za tę równość, której tak przestrzegał,
 Pan pośluszeństwa ślepego wymagał:
 Rozkazał w prawo — szlachcic ruszał w prawo
 W lewo, szedł w lewo, jak koń u kolasy,
 A kto możniejszy, miał za sobą prawo
 W te dobre czasy!

Gryść twardy Alwar do gęstej już brody,
 Liznąć statutu, próżniaczyć przy dworze
 Pańa hetmana albo wojewody,
 Wykpić wioszczyne przy zdarzonej porze,
 Albo zastawę, potem wzięwszy żonę
 Jeść, pić i hulać, popuściwszy pasy.
 To było życie szlachty tak sławione
 W te dobre czasy!

Życie zaś panów: gołą szlachtę poić,
 By im służyła w kłótniach między sobą

Zakłócać sejmy, nadużycia broić,
 Kraj swój okrywać hańbą i żałobą,
 Wykpiwać z królów starostwa intratne,
 Stroić się w pióra, futra i kutasy,
 Oto są rysy magnatów wydatne,
 W te dobre czasy!

I to jest wszystko, czem się odznaczały
 Te czasy dzisiaj tak bardzo chwalone,
 Lecz tak jak każde, i one też miały
 I swoje cnoty i swą dobrą stronę
 I ludzi dzielnych, tylko znów nie tyle,
 Jak chcą starego trybu mecenasy,
 Co wierzą, stojąc na kraju mogile,
 W te dobre czasy!

Jedno najlepsze, ot że się rąbano
 Lepiej jak dzisiaj — przynajmniej na sucho
 Obelg honoru jak dziś nie puszczano,
 I jeśli szlachcic dał drugiemu w ucho
 Ciepłym szampanem nie kończyli sprawy,
 Lecz każdy w ręce, i dalej w zapasy.
 A jak się bili, to nie dla zabawy
 W te dobre czasy!

A jednak wolę ja te nasze wady
 Jak zagranicznych historyj plugastwa,
 Co mimo błędów były choć zasady
 Rządu, wolności, cnot i prawodawstwa.
 Głupstwem dopiero tak nas nakarmiły
 Te obieralne Francuzy i Sasy
 I bodaj nigdy już nam nie świecily
 Ich dobre czasy!

.....
 Były niezgody, ale w nich trucizna
 Nie szła bezwstydnie z sztyletem w zapasy
 U nas choroba — wszędzie zaś zgnilizna
 Była w te czasy!

VOX POPULI, VOX DEI.

Że głos ludu głosem Boga,
Stare powiada przysłowie,
Ale doświadczenia droga,
Co innego niech nam powie;
Głos ludu, czyli większości,
Jest najczęściej głosem tłumu,
Bez serca i bez rozumu,
Najopłakańszej mierności.

Zwłaszcza u nas, gdzie jest zdanie
Publiczne niewyrobione,
Często głupie niesłuchanie,
Lub według pojęć skrzywione;
Gdzie dość jest, by być rozumnym,
Mieć sprytnego sekretarza,
A jeszcze lepiej kucharza;
I nie być zanadto dumnym.

Gdzie dość jest, by mieć złą sławę,
(Bez zarzutów plam lub zdrady)

Tylko sąsiedztwo łaskawe
Nie zapraszać na obiady,
Na przepadłe nic nie dawać,
Żyć oszczędnie, z kredką, główką,
Nie szastać zbytńio gotówką,
I do butelki nie stawać.

U nas dziwnie to się dzieje,
Byle worek nie był pusty,
Złodzieja — nie są złodzieje,
A oszusty — nie oszusty.
Pierwsze źródło z bogacenia,

Już oddawna zapomniane,
Zagładzone i zrównane;
O przeszłości ni wspomnienia.

Proszę zliczyć ekonomów,
Lub pisarzy prowentowych,
Co dziś są głowami domów,
Poważanych i herbowych.
Jeszcze o ojcu powiedzą
Zrzadka: — «złodziej» — lecz o synie
Niechaj dziesięć lat przeminie,
Tylko, że pan wielki wiedzą.

Niech kto fałszywym procesem,
O co u nas tak jest łatwo,
Zgubi bliźniego z kretesem
Zrobi go żebrakiem z dziatwą;
Czas jakiś mówią: — «ot lichy,
Zgubił łotr pana Jerzego;»
I będzie gadania tego...
Pół roku, a potem... cicho.

Ktoś tam żyje nad swą skalę,
Wszyscy podziwiają szczerze,
Zkąd, nie patrzą na to wcale,
Lecz zazdroszczą, że się bierze.
Nieraz słyszę: «mieszka ładnie,
Dobrze żyje, człek porządny;»
Cóż, czy rozumny — czy rządny?
«Nie — ma miejsce, dobrze... kradnie.»

I to nie jest powiedziane
Pogardliwie, ironicznie,
Nie, — złodziejstwo tu widziane
Jest ściśle filozoficznie.
Kradzieżą się nie nazywa, —
Lecz obrotem, przezornością,
Baczną naprzód oględnością,
Lub też ekonomją bywa.]

U nas zwie się gospodarzem
Rządny rodzaj rozbójnika,
Który z żydem arendarzem
Chłopów własnych drze jak łyka,

Który nie patrząc na skutki,
Prócz tych jakie w kieszeń bierze,
Najwięcej kartofli zbierze,
A najwięcej sprzeda wódki.

I nie może być człek nizki,
Jeśli ma z administracji
Majątku potrójne zyski.
A podwójne z propinacji;
Że żadnego nie prowadzi
Z chłopami nigdy rachunku,
Tyle tam tego frasunku —
Zawsze sobie dobrze radzi.

Wszyscy wiedzą, że zabija,
Morzy głodem lud poddany,
Który nędzny, siłą kija
Dzień w dzień do pracy jest gnany;
Zamiast oplwać mu twarz całkiem,
Zamknąć każde drzwi przed nosem,
Wszyscy zgodnie jednym głosem,
Obierają go marszałkiem.

Pieniacza, marnotrawnika,
Jakiego pod słońcem niéma,
Wynoszą na urzędnika,
Co los rodzin w ręku trzyma;
Głupca, którego list prozą.
Mógłby być dla osłów wzorem,
Obierają kuratorem!

Kuratorem szkół, o zgrozo!

Jak nasz tak i wszystkie kraje
Mają wiele zła w szczegółach,
Ale szczerze to wyznaję,
Więcej jest sensu w ogółach.
Co jest złem, złem się nazywa,
Dobre dobrem, tu inaczej:
Złe na dobre się tłumaczy,
A dobre często złem bywa.

Królem ślepych jednooki.
U nas co wiorsta uczony,
Porządny co cztery kroki,

A kochaniękich — miliony!
I nie ma nawet nadziei,
By inaczej kiedy było,
Tak się u nas wyrobiło,
To vox populi, vox Dei.

DO PANÓW MORALISTÓW.

Panowie moralisci, którym całe życie
Tak światowa bezbożność straszliwie dokucza,
Że już, aż w uszach bębni, tak na nią krzyczycie,
Choć żaden z was nic nie robi tego, co naucza,
Kiedy już nam przykładów nie dajecie z siebie,
Tak iżbyśmy prostując niecne życie nasze,
W waszej kiedyś kompanii mogli zasiąść w niebie,
Gdzie już może mniej głośnie będą krzyki wasze,

Dajcie nam choć w teorii pełne światła rady,
Jak mamy żyć na ziemi, — wam to łatwo przecie:
Objawcie wasze myśli, i wasze zasady,
Powiedźcie raz nareszcie czego od nas chcecie.
Ale mówcie wyraźnie, nie ogólnikami,
Które bardzo szanuję, choć rzadko rozumiem,
Bo te tak łatwo mówić, że nawet czasami,
Jak jestem w wienie głupstwa, sam je mówić umiem.

Lecz pytam was panowie szczerze i uczciwie,
Jak rządzi, który wzywa możnego pomocy,
Co ma robić codziennie, aby żyć cnotliwie,
Od w półdo szóstej z rana, do samej północy;
Bo przypuszczam, że śpiącym w zatrudnień natło-
Raczycie dawać pokój — bardzo naturalnie, [ku,
Człek bowiem czy śpi na wznak, czy na którym
Byle nie nadto chrapał, zawsze śpi moralnie. [boku.

Na to mi odpowiecie znowu ogólnikiem,
Że nie jestem pobożnym, nie dość pracowitym,

Na to mi odpowiecie znowu ogólnikiem,
 Że nie jestem pobożnym, nie dość pracowitym,
 Nie dosyć miłosiernym, zanadto grzesznikiem;
 Słowem człekiem okropnym, łotrem całkowitym.
 I znowu zawrzeszczycie: — «wnijdź w siebie sa-
 [mego.

«Miej w sercu Pana Boga, zrzecź się uciech świata,
 «Kochaj Boga nad wszystko, jak siebie bliźniego,
 «Martw ciało, wzmacniaj ducha, daj na mszę
 [dukata.»

A żaden nie odpowie na to, o co proszę:
 Co mam robić od rana, aż do późnej nocy?
 Z tego zatem panowie n jlogiczniej wnoszę,
 Że się muszę obywać bez waszej pomocy,
 A szukać tych przykładów, których nie możecie
 Dać sami, lub nie macie najmniejszej ochoty,
 W życiu ludzi, w chrześcijańskim zasłużonych
 Przez pobożność i inne zasługi i cnoty. [świecie

W skutek tego zostaje wreszcie przekonanym,
 Że najchwalebniej jest być wiary męczennikiem,
 A kto nie ma ochoty być poćwiertowanym,
 Ten powinien przynajmniej zostać pustelnikiem.
 Ponieważ do pierwszego braknie mi odwagi,
 I że czekać okazyi trzeba lata długie,
 Ażeby się odznaczyć czynem takiej wagi.
 Żeby aż wisieć za to, obieram więc drugie.

Cnotliwemu na puszczy niepotrzebne kufry, ^{szafa}
 Czamodany, walizy, suknie i pościele,
 Ubieram się więc lekko, jak święty Onufry;
 I za całą ozdobę łeb nurzam w popiele,
 — «Co robisz — mówi żona — widząc mię w tym
 [stanie,
 «Dokąd idziesz z tą pałką? ach! musiał zwarzjo-
 [wać,
 «Hej! jest tam kto? Walenty, Bartłomieju, Janie!
 — «Daj mi pokój Marylko, idę pokutować.



«Rozdaj pomiędzy biednych wszyściutko co mamy,
 «I pozwól się zamęczyć, albo chodź na puszcze,
 «Dzieci zaś Panu Bogu w opiekę oddamy,
 «Chodź....» — «Czy ty zwarzowałeś? dalipan nie
 [puszczę.
 «Hej! Bartłomieju, Janie!» — Jak panie nie skoczą,
 Jak się nie rzucą na mnie Bartłomiej z Walentym,
 Do łóżka, krew puścili, łeb mi w łodzie moczą. .
 Dostańże tu ochoty zostać u nas świętym.

A coby było ze mną, gdyby mi do końca
 Gnostycznej walki z ciałem dotrwały zamiary.
 W wilgotnym gdzieś ostępie, do zachodu słońca
 Jużby w większej połowie zjadły mię komary.
 Litwa nie Azya mniejsza, na sośnie i brzozie,
 Nie rosną ani figi, ani też banany,
 A i świętemu trzeba coś więcej jak kozie,
 Co od biedy gryść może liść z drzew osypany.

Po pierwszej zaraz nocy w ten sposób spędzonej,
 Dostałbym już tyfusu, i albo w tym stanie
 Zostałbym przez niedźwiedzie lub wilki zjedzony,
 Albo też chłopiek jaki słysząc me stękanie,
 Przebrawszy się przez błoto, znalazłby świętego
 W najopłakańszym stanie nędzy i niesromu,
 I wzięwszy litościwie na wóz pół żywego,
 Odwiozłby po dwudniowej pokucie do domu.

Sami zatem widzicie, że się żadną miarą,
 Nie mogę wyrzec świata i powabów jego.
 Martwić ciało jest piękną zapewne ofiarą,
 Ależ bo nasze ciało kiepskie i bez tego.
 Wzmacniać ducha rozumiem, lecz wzmacniać roz-
 sądkiem,
 Nauką, doświadczeniem i ścisłym pojęciem
 Własnego stanowiska, nie zaś tym porządkiem,
 W który dzisiaj chcąc wierzyć, trzeba być dzie-
 cięciem.

Blźniego kochać mogę, nie tyle jak siebie,
 Bo to jest niemożnością nazbyt oczywistą;
 Ale kocham, naprzykład, tyle kocham ciebie,
 Ile wasan mnie kochasz, panie moralisto!
 To jest, gdyby jednemu przyszło skoczyć z dachu,
 Zawsze wolałbym lepiej, żebyś wasan skoczył;
 Bo wiem, że gdybym tonał, pewnobyś sam w strad-
 Dla moich pięknych oczu nosa nie zamoczył.[chu

I miłosiernym moi panowie być mogę,
 Tyle tylko o ile zbytek mam pieniędzy,
 Bo inaczej blźniego może zapomogę,
 Ale sam najniezgrabniej umrę potem z nędzy;
 Słowem jeśli człek tylko ma ile mu trzeba,
 A na jałmużny nie ma, musi stanąć na tem,
 Że, aby miłosierdziem dokupić się nieba,
 Nie dość jest pięknych chęci — trzeba być bogatym.

A tu właśnie jak na złość, sami powiadacie,
 Że ubóstwo jest jedną z wielkich cnót chrześcian-
 Lecz ubogi nie może, sami to przyznacie, [skich!
 Miłosierdziem dostąpić trudnych wrót niebiańskich.
 Bogaczowi, wiadomo, niepodobna także
 Pójść do nieba, a zatem proszę bardzo ciebie,
 Kochany moralisto, powiedz mi jednakże,
 Wśród tych wszystkich zawikłań — kto też bę-
 [dzie w niebie?

Nie wznos pobożnie ramion, moralisto drogi,
 Słyszac moje bluźnierstwa; dosyc was na świecie,
 A nie slyszalem dotad, zeby ktory nogi
 Poderwal dla blźniego; — to zaś, co pleciecie
 O ludzkich powinnościach, zróbcie w setnej części
 Sami u siebie w domu, z żonami i z dziatwą,
 A nie wątpię na chwilę, że Bóg wam poszczęści,
 Lecz zobaczycie sami, że to nie tak łatwo.

Jeśli mi pokażecie własnymi przykłady,
 Że człek pozbyć się może wszelkich swych sła-
 Jak zobacze wyraźne i skuteczne ślady, [bości,
 Tak waszych pięknych chęci, jak doskonałości,

Wtedy powiem: «przepraszam — mniemałem
 [zbyt śmiało,
 «Że człek jest tylko trochę ukształcześnie zwierze
 «Nie, — człek jest istotą mądrą, doskonałą,
 «Co z nieba cnót natchnienie i zapas sił bierze.»

I to jeszcze potrzeba, żebym ja był świadkiem
 Tych zwycięstw waszej duszy nad zwierzęcem
 [ciałem;
 Żeby z wami nie było tak samo przypadkiem,
 Jak z wielu, których w życiu mojem spotykałem,
 Co najdumniejsi byli z swej wstrzemięźliwości,
 Do której ich przymuszał żołądek już słaby,
 A mianowali cnotą wstręt swój do miłości,
 Nie widząc naokoło... tylko brzydkie baby.

Dopóki zaś was widzę tak samo ułomnych,
 Tak samo chorowitych, i tak stękających,
 Tak samo chciwych, głupich, złych i nieprzyto-
 [mnych,
 A tylko dużo więcej głupstw nam gadających,
 Dopóty w wyższość waszą, a głównie w człowieka
 Możliwość doskonałości, pewnie nie uwierzę —
 I jakakolwiek przyszłość w wieczności nas czeka,
 Tak siebie, jak wasana, uważam za zwierzę.

Bo przeznaczeniem człeka jest myśleć i sądzić,
 Czcic Boga i naturę, pracą umysł zdobić,
 Z prostej rozsądku drogi starać się nie zbłądzić,
 A przytem wszystkim jednak, codziennie głupstwo
 Bądźmyż wyrozumiali, mój panie, inaczej [zrobić.
 Zamiast człekiem kierować, tylko się go nudzi;
 Co jedno z drugim wzięwszy, najtreściwiej znaczy,
 Że panowie jesteście najnudniejsi z ludzi.

A świat gdyby was słuchał musiałby bezsprzecznie,
 Zejść na samych fakirów, mnichów i kwestarzy,

Tymczasem jak wiadomo, trzeba mu koniecznie
Prócz tego ogrodników, rolników, piekarzy,
Kowalów, ekonomów, malarzy, snycerzy,
Ministrów, aptekarzy, stróżów, kancelistów,
Szewców, krawców, doktorów, kupców i żołnierzy,
Słowem wszystkiego trochę, — oprócz moralistów.

Droga przyjaźń, drogi przyjaciel.

Jak stosownie, że w kilku, jakie znam językach,
(I nie wątpię, że w wszystkich jakie istnieć mogą),
W mowie ustnej, pisanej i w prostych okrzykach,
Przyjaźń jest uważana za rzecz bardzo *drogą*;
Ale mało kto dotąd chciał pomyśleć o tem,
(Choć się człkiem myślącym niejednym być mieni)
Jak ta przyjaźń istotnie *drogim* jest przedmiotem
Nie tylko dla serc naszych, lecz i dla kieszeni.

Gdy mówisz, albo piszesz: „*przyjacielu drogi*“, —
Sam nie wiesz jakąś prawdę powiedział niezbitą;
Bo czyś człowiek bogaty, czy całkiem ubogi,
Przezucieś duszą stratę gdzieś na dnie ukrytą,
Którą za sobą ciągnie ten przymiotnik miły;
Widzisz oczyma duszy cały szereg nędzy
Ztąd płynącej, te kłamstwa, i ten nad twe siły,
Wydatek władz moralnych, jeśli nie pieniędzy.

Masz bowiem czas, — przyjaciel go tobie zabiera
Masz zdolności, — te także dla siebie zużyje,
Masz serce, — w tem jak w swoim wciąż dłubie
[i szpera,
Masz duszę, — i tę całą, aż do dna wypije;
A jeśli masz pieniądze, tak cię z nich obierze,
Że od wszystkich żebraków stawszy się uboższy,
Umierasz na ostatek przekonany szczerze,
Że z wszystkich rzeczy drogich, przyjaciel *naj-*
[droższy.

Dodać jeszcze możemy, że tym cnotom dzięki,
 Które, każąc nam wierzyć w wszystko, co kła-
 Redukują posagi z hojnej papów ręki [mane,
 Do szóstej części tego co miało być dane, —
 To prawidło się daje stósować dokładnie,
 Do większej liczby teściów i małżonek pono,
 I jeśli „drogi papo“, brzmi nadzwyczaj ładnie,
 Niemniej sensem swym trafne jest: „najdroższa
 [żono!“

Nie sąż więc dobrodziejstwem te zacne języki,
 Które nam ułatwiają z ludzkością pożycie;
 Z poszanowaniem prawdy, sensu i logiki,
 Dają też wszelkie prawo kłamać przyzwoicie;
 Gdybym mówił: *kochany* i *najukochańszy*,
 Ominąłbym się z prawdą często w sposób srogi,
 Unikam tego grzechu w sposób dużo tańszy,
 Mówiąc z miłym uśmiechem: „przyjacielu drogi!“

K A B A Ł A.

Najzacniejsza, kochana, poczciwa kabało,
Najniewinniejszych zabaw i rozrywek wzorze,
Tyś chwil moich samotnych towarzyszką stała —
I że cię bardzo kocham, któż się dziwić może! —
Ty mię zawsze ratujesz od nudnej rozmowy,
I towarzystwa bliźnich moich ciężko nudnych,
Od czczych plotek, i brzęku złośliwej obmowy,
Pod postacią facecyj płaskich, często brudnych.

Kładąc cię, własnym myślom swobodnie oddany,
Bujam sobie rokosznie w fantazyi dziedzinie;
I czy żyję z przeszłością, czy przyszłości plany
Rozwijam, terażniejszość nieznacznie mi płynie
Bez tych nieznośnych targań, kóremi nas budzi
Głustwo, co chwila wyszło z ust kochanej braci;
A głupstwo tem przykrzejsze, że nietylko nudzi,
Lecz najmniejszą, korzyścią czasu nie opłaci.

Co mi naprzykład z tego, że mi jakaś dama,
Po raz setny opowie czyny wiekopomne
I cnoty nieboszczyka swojego Adama,
O których w dziesięć minut najpewniej zapomnę,
Ile, że o tem nawet nikt z znajomych jego
Nie pamięta, bo raczej powszechnie jest zdanie,
Że to był człek rozumu nader powszedniego,
A i cnoty zażywał dość umiarkowanie.

Albo, że po raz tysiąc osiemdziesiąt wtóry,
 Opiszę swojej Józii naprzód urodzenie
 W A.... — potem wszystko, co ten cud natury
 Zrobił, działał i stworzył na świata zdumienie,
 Tu, i na Monte Pincio, tam i w świecie całym,
 A zawsze: ja i Józia, my z Józią we dwoje....
 To wszystko powiedziane owym tonem śmiałym,
 Który znaczy: »Słuchajcie, bo to dzieło moje!....«

Ty mię także uwalniasz, kochany pasyansie,
 Od słuchania szanownych naszych myślicieli,
 Którzy się po beziku, albo preferansie,
 Wzajemnie tem traktują, co gdzie usłyszeli,
 Albo co który widział; otóż zbiór ciekawy
 Uwag, twierdzeń, dowodzeń zdań najopatrzniej-
 [szych,
 Niedoczytanych nowin, z czego znów rozprawy,
 W kwestyach dla ich umysłu najnieodstępniej-
 [szych.

Ludzie co nie rozróżnią walca od sonaty,
 O metodzie śpiewaczki rezonują śmiało;
 W jednym kącie zebrane same dyplomaty,
 W drugim reformatorzy, których też nie mało;
 Wprawdzie żaden nie słucha, bo wszyscy gadają,
 Ale z ruchów, postawy każdego widocznie
 Wnieść można o tych panach, że się wszyscy
 [mają
 Mało za kompetentnych... każdy za wyrocznie.

I słusznie, wszak marszałków samych masz już
 [pięciu,
 Nie jeden był podsędkiem, dwóch kuratorami
 Szkół jakichś, a choć trudno cokolwiek pojęciu,
 Jak się kraj mógł obchodzić takimi osłami,
 Zawsze to matedory, licząc prezydenta,
 Którego i dziś jeszcze poważane zdanie,
 I którego dowodzi figurka nadęta,
 Że sam się za mądrego ma też niesłuchanie.

Nie maż prawa stentoru podnieść w każdym razie,
 Gdzie idzie o zbadanie wszech rzeczy przyczyny,
 Sztabś-rotmistrz co przesłużył lat sześć na Kau-
 Alboteż nauczyciel niższych klas łaciny, [kazie,
 Profesorem dziś zwany? - *cognoscere rerum*
Causas, tak im jest łatwo, jak pod dobrą porą
 Wypić pół kwarty wódki po flakach z imbierem,
 Lub bigosu z kapustą połknąć misę sporą.

To też tutaj dowodzą, że Paweł z Feliksem
 Są łotrami, jak mało na świecie szerokim,
 Tam dalej znowu Pawła zrobiono fenixem
 Cnót wszystkich, a Feliksa ledwie nie prorokiem,
 Tu o pani X. mowa, że rzadko jest dama
 Więcej cnotą, nauką i rozumem głośna;
 Zaledwieś w drugą stronę zwrócił się, taż sama
 Jest baba zła, kapryśna, głupia i nieznośna.

Pasyans mój układając, nic tego nie słyszę,
 A choć słyszę nie słucham, nawet gdy jest mowa
 Bo Masia o Ignasiu do Monisi pisze,
 I jak się Ewelinka wśród tego zachowa.
 A jeśli mi się zdarzy dołożyć uwagi
 Gdy mowa jest o kwiatkach trzech przy kapeluszu,
 To w istocie dlatego, że rzecz takiej wagi,
 Nie może być puszczonej przecie mimo uszu.

Dzięki Tobie pasyansie, gdy nasze babule
 Po spowiedzi, komunji, trzech mszach i nieszporce,
 Pokrzepione na duchu, seraficznie, czule,
 Oszczekują się wzajem w chrześcijańskiej pokorze,
 Ja nie wchodząc bynajmniej w rozbiór rzeczy ca-
 Równie mało ciekawy, jak krytyk nieskory, [łój,
 Podziwiam tylko szczerze pożytek niemały,
 Jaki przynoszą spowiedź, trzy msze i nieszpory

A nadto w głębi duszy cieszę się najszczerzej,
 Że ludzie tak umieją kochać się i bawić

Niewinnie, niezłośliwie, zacnie, w dobrej wierze,
Że tak właśnie potrzeba Pana Boga chwalić;
Że tak dobrze pojmują tę miłość bliźniego,
Pierwszą jak sami twierdzą chrześcijaństwa zasadę,
A że sam ją inaczej rozumiem, dla tego
Nic nie mówię, poziewam.... i kabałę kładę.

Patryotyzm tanim kosztem.

Kochać kraj zbiorowo,
Raj ziemski w nim widzieć,
Ale ryczałtowo
Wszystkich nienawidzieć,
Padać na kolana
Przed wszystkim, co nasze,
Śpiewać dana, dana,
Wielbić z szpérką kaszę,
Podziwiać natury
Polskiej wszystkie cudy,
A z temperatury
Śnieg, błoto i grudy;
Nad wiejskim się ludem
Sercowo rozczulać,
Dzielić się z nim trudem
I w karczmie z nim hulać,
I modlić w kościele,
I w radzie zasiadać,
I razem z nim jadać
Ziemniaki w popiele,
I znowu w tym stylu
Piosnka oklepana
Dylu, dylu, dylu
Danać moja dana
Z czasu tylko stratą,
Bo wypadek rzadki,
Żeby ów marzyciel

Ów mecenas ludu
 Wspólnik jego trudu
 I cnót jego czciciel,
 I stróż jego mienia
 Dwa razy przez lato
 Z własnego natchnienia
 Wyszedł za rogatki.
 Wszystko zaś co gwarzy
 O tym ludku tkliwie,
 Tylko mu się marzy
 Pięknem w perspektywie
 Bo ani z nim gadał,
 Ani żył z nim społem,
 Ani z nim za stołem
 Kartofli nie jadał,
 Ani z nim nie płakał,
 Ani z nim nie śpiewał,
 Ani w karczmie skakał,
 Ani się z nim gniewał,
 Tylko dla paplania
 Dla szyku też trocha
 I dla przekonania;
 Że coś przecie kocha:

* * *

Za to ma już prawo
 Resztę nienawidzić
 I w lewo i w prawo
 Ze wszystkiego szydzić,
 Wszystkich z błotem mięsząc
 I strącić najniżej,
 A zwłaszcza psy wieszac
 Na tych, co są bliżej.
 W tym samym gdzie mieszka
 Domu, prócz dziedzińców
 Znaleść nieomieszka
 Piętnastu złoczyńców

Od niecnoty stróża,
 Co chociaż sam z ludu
 Trzyma w steku brudu
 Schody i podwórza,
 Aż do lokatora,
 Co ma kocz i konie,
 Wszystko nędzna zmora
 I wszystko nicponie.
 Doktor plaga czysta,
 Aptekarz niezdara,
 Kupiec egoista,
 Żona jędza stara
 Córki koczkodany,
 A syn, żal się Boże
 Łotr i łobuz znany
 Z długów wyjść nie może.
 A wyjdź na ulicę
 Nie dalej jak w bramę,
 Same bezwstydnice
 Co krok, łotry same,
 Ten kręciel wierutny,
 Tamten brudny chciwiec,
 Ten łgarz absolutny,
 Tamten niegodziwiec,
 A hrabiaż. bo hrabia
 Ten jeden do kata
 W sobie uosabia
 Wszystkie zbrodnie świata.

* * *

[Z taką mieszaniną
 Złości z egoizmem
 Ludzie u nas słyną
 Swym patryotyzmem.]
 Dodawszy do tego,
 Że Kraków do Lwowa
 Tyle czuje złego,
 Co Lwów do Krakowa,

{ Znajac Lwów i Kraków
Myśli człek niekiedy,
Ze nie ma Polaków
Tylko samojedy,
Albo wilki w lesie.
Gryzące się wzajem,
I to Polską zwie się
I zwać ma się krajem. }

POCHWAŁA PRZYJAŹNI.

Wiele mówią o przyjaźni,
Jej potrzebie, jej świętości,
Lecz ja, bez żadnej bojaźni
O zarzut zbytnej stronności,
Wyznam, chociaż w przyjaźń wierzę,
I choć mam przyjaciół wiele,
Że nie wierzę, mówię szczerze,
Że są jeszcze przyjaciele. —

Za czasów mitologicznych
Dawnej Grecyi, gdy ofiary
Składano dla bóstw rozlicznych,
Znano przyjaciół trzy pary!
I jak to już mało pono,
W Grecyi tego dobrą mieli,
Kiedy jak półbożków czczono,
Rzecz tak rzadką: przyjaciele!

Wierzę wreszcie, że Pylady,
Te Oresty, i tam dalej,
Bez zawodu, i bez zdrady
Aż do śmierci się kochali;
Ale mi się jakoś roi,
(Czy kto zdanie to podziela)
Że już oń zdobycia Troi,
Nikt nie widział przyjaciela!

Wreszcie, cóż ich różnić miało
 Owych greckich w sercu braci,
 Interesów mieli mało
 Wszyscy byli nie żonaci,
 Więc kiedy nie było miary
 Zrobić z siebie nieprzyjaciół,
 Cóż dziwnego. że trzy pary
 Świat stary liczył przyjaciół?

Niechby Orest był dostatni
 Pylad goły, dajmy w nędzy,
 I chciał już w biedzie ostatniej
 Wziąć u Oresta pieniędzy;
 Cóż byłoby? — ze chciwością
 Orest brudną by się zaciął,
 Pylad splamił niewdzięcznością,
 I przepadło dwóch przyjaciół!

Niechby który z nich miał żonę
 Z cokolwiek ładną twarzyczką,
 Lub co gorsze jeszcze pono
 Przyjaciółkę baletniczką,
 Prędkoby przyjaźń ustała,
 I zawziętych nieprzyjaciół
 Historia by cytowała
 Zamiast tych kilku przyjaciół!

Niechby z sobą granicyli
 Suchą miedzą, lub przez rzeczkę,
 Nimby rok z sobą przeżyli,
 Jużby mieli jakąś sprzeczkę;
 Orest by się worał w grunta,
 Pylad w lesie chrustu naciął;
 I nie warta kłaków funta,
 Cała przyjaźń tych przyjaciół!

Niechby Orest na Marszałka
 Chciał iść, o! nic pewniejszego,

Że i Pyladowa gałka,
 Padłaby na stronę jego,
 Lecz broń Boże, gdyby obu
 Jednakowe były cele,
 Już zgody ani sposobu,
 I przepadli przyjaciele!

Niechby oba do jednego
 Posagu wzdychać zaczęli,
 A Oresta szczęśliwego
 Wybrało seicę Anieli;
 Pylad przeklnie tak ja sędzę,
 I Oresta, i Anielę,
 Bo gdzie idzie o pieniądze
 Tam już giną przyjaciele.

Niechby wierszem, albo prozą,
 Oba cokolwiek pisali,
 Kastor z Poluksem, o zgrozo!
 Jak psy by się ujadali;
 Niechby Orestowa siadła
 Przed Pyladową, w kościele...
 Natychmiast kłótnia zajadła..
 I przepadli przyjaciele.

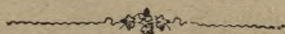
A dziś pytam, kto cię łaje?
 Kto cię męczy? — kto cię nudzi?
 Kto pożyczca, nie oddaje?
 Czems zawsze przykrem utrudzi?
 Złą wieścią pierwszy zasmuci,
 A wymaga Bóg wie, wiele!
 Kto ci żonę bałamuci?
 Nikt więcej, jak przyjaciele!

Z tego też wniesć się ośmielę,
 Ztąd jasna prawda wynika,
 Że najlepsi przyjaciele
 Pomagają nam jak w ćwika;

Zatem wierzmy temu święcie,
Że ze wszystkich nieprzyjaciół,
Którzy nas nudzą zawzięcie,
Nie ma gorszych, nad przyjaciół?

Przyjaciele są, jak kwiaty,
Które kochaj, lecz nie zrywaj,
Podziwiał ich kształt bogaty!
Lecz broń Boże, nie używaj!
Bo jak w kwiecie obumiera
Za użyciem krasa wiele,
Tak użycie poniewiera
Najlepszego przyjaciela!

Jeśli więc człowieku młody,
Chcesz uniknąć nieprzyjaciół,
Strzeż się, jak ognia i wody,
Zbyt wielkiej liczby przyjaciół,
Bo co w nas uczucie gasi
Kto to są: nieprzyjaciele?
Są to zwykle, dawni nasi
Jak najlepsi przyjaciele!



PIOSNKA TADEUSZA.

[Każecie mi śpiewać, muszę,
Choć nie to mi teraz w głowie,
Jakiś ciężar gnębi duszę,
Ciężar co się smutkiem zowie!
Próżno na siebie przywdziewam
Strój maskowy, cierpi dusza,
Ale chcecie, więc zaśpiewam,
Śpiewać będę Tadeusza!]

Niech ten śpiewa, kto szczęśliwy
Ma na ziemi śpiewać komu,
Niech śpiewa komu życzliwy
Los zapewnił szczęście w domu.
Ja samotny, komuż będę
Śpiewać, w sercu taka susza,
Ale chcecie, więc usiędę
I zaśpiewam Tadeusza.

Tadeusz miał dobrą żonę,
Której cnota była wianem,
Miał zagrodę ulubioną
I szczęśliwy był swym stanem;
Mały posiew i zbiór mały
Jedna tylko jabłoń, grusza,
Krówka, koń i wół to cały
Był majątek Tadeusza.

Rano wstać, dziękując Bogu,
Pocałować dobrą żonę,
Pójść na pole, lub do stogu,
Złożyć sianko zgromadzone;

Potem zjeść, co żona dała,
Lecz podjeść aż syta dusza,
Oto była dola cała
Ubogiego Tadeusza!

Latem kubrak płócienny,
Zimą kożuch pospolity,
A na święta granatowy,
Kontusz suty i pas lity;
Prawdziwie mężka ozdoba,
Karabela do kontusza,
Oto cała garderoba
Pocziwego Tadeusza!

Cieszyć się szczęściem bliźniego,
Cudzą nędzą nie weselić,
Nic nie chcieć od bogatszego,
A z biedniejszym się podzielić;
Kochać kraj, nie cierpieć zdrady
Taka była polska dusza,
Taki cel, takie zasady,
Uczciwego Tadeusza!

Czasem pośmiać się, zaspiewać
Z przyjaciółmi popolować,
Czasem z żoną się pogniewać,
Ale w końcu pocałować;
Nigdy przed głupstwem i dumą,
Nie uchylić kapelusza,
Lecz żyć szczerze z kumem, kumą,
To charakter Tadeusza!

Nigdy nie mieć aż do zbytku,
Ale mieć zawsze do sytu,
Wszystkiego co do użytku,
Bez kryształów, aksamitu;
Nigdy nie wyjść z położenia
Co człeka do pracy zmusza,
To były całe marzenia
Ubogiego Tadeusza!

Korzystając z dni młodości,
 Kochać bardzo, kochać szczerze,
 A dobrawszy się starości,
 Z Jejmością trzepać pacierze:
 I zachować czerstwość ciała,
 Tak jak czerstwą była dusza,
 To była nadzieja cała,
 Zbyt ufnego Tadeusza!

Lecz los srogi nawet tego
 Pozazdrościł mu bogactwa,
 Żona zmarła, Bóg wie z czego,
 Biedny przyszedł do tułactwa;
 Zaniedbał i dom i rolę
 Nie dba czy to deszcz czy susza,
 Bo serce przejmują bole
 Samotnego Tadeusza!

Jeżeli mu spiewać każą
 Wszakże spiewa, cóż to znaczy?
 Że wesoły, to się twarzą
 Wesołą jasno tłumaczy,
 Lecz choć wesołość przywdziewa
 Na twarz, oko łza przyprusza.
 Odtąd gdy kto smutnie spiewa
 Mówią: śpiewa Tadeusza!

Choć to dawno bardzo było,
 Przyjmcie tę opowieść nową!
 A choćby mi się i śniło,
 Przebaczcie, żem podrwił głową.
 Co sam miałem, to wam dałem,
 A choć tęskni czegoś dusza
 Kazaliście, zaspiwałem
 Wam piosneczkę Tadeusza!

BODAJ TO KOMPLETNE WARYATY!

To, co się zowie waryacją,
Mniej dowodzi głowy ciasnej,
Ile jest exaggeracya
W człowieku miłości własnej.

Lecz exaggeracyą, która
Ma przynajmniej dobrą stronę,
Że ją kończy ciasna dziura,
Miejsce szczelnie ogrodzone—

I okłady z zimnej wody,
Zamiast codzien nowych trudów,
Ciągłych w interesach szkody,
I zadanych ludziom nudów.

To też ja zeznaję głośno,
Że jak miłość własna dla mnie
Stała się plagą nieznośną,
Tak znów waryacya, bynajmniej.

Bo co mi to proszę szkodzi,
Że z zwykłym sobie kurażem,
Waryat w szpitalu dowodzi
Że jest królem, lub cesarzem?

Albo przesłiczną kobietą,
Albo dotąd niepojętym,
Ale genialnym poetą,
A choćby i duchem świętym?

Wolę to, jak tych kochanych,
 Co mi mówią: Przyjacielu ..
 I tych mędrców okrzyczanych,
 Jakich znam nadzwyczaj wielu.

Którzy wychodząc z zasady,
 Że działają najprzytomniej,
 Mnie zimne dają okłady,
 Sto pretensyj mając do mnie...

Okładają mię, jak króle,
 Rozlicznemi podatkami,
 Jak kochanki chcą, bym czule
 Żył ich tylko uściskami.

Wmawiają mi swą genialność,
 Słuchać mi swych bredni każą,
 I przez wzgląd na mą moralność,
 Duchem mię swym świętym darzą.

Z tymi, czas mój drogi tracę.
 Chcąc sens jakiś z bzdurstw ich zlepić,
 A nieraz i coś zapłaceć,
 Byle się od nich odczepić

Zawsze w końcu zmuszon sobie,
 (Policzywszy wszystkie straty),
 Powiedzieć: Otóż, masz tobie,
 I to także są waryaty.

Na takich to próbach życie
 Zmarnowawszy swoje całe,
 Musi człowiek nieodbicie
 Zdobyć przekonanie stałe,

Że z owych wszystkich waryatów
 Którzy mu wątrobę jedzą,
 Najlepsi są, do stu katów,
 Ci, co już pod kluczem siedzą.

I dojść do smutnej pociechy
 Wszelkiego zaś złego racyi,

Że wszystkie na świecie grzechy,
Zasadę mają w waryacyi,

Która starym obyczajem
Od wiek wieków wstrząsa światem,
Bo bodaj, czy nawet Kaim,
Nie najpierwszym był waryatem?

Niech więc kto chce ludziom wierzy,
Zasłuży się Bogu pewno,
Lecz wyjdzie, mówię najszczerzej,
Jak Osman basza pod Plewną.

To jest, że każdy kęs chleba,
Każdy ruch w lewo, lub w prawo,
Zdobywać mu będzie trzeba
Walką z głupstwem, pracą krwawą!

Zdaje się, choć wyrachować
Dość to jest trudno, na lata.
Że ludzkość musi zwaryować
I to będzie końcem świata.

A zmilkną przecież kolizye,
Na tej nieszczęsnej planecie,
Jak Thiers ostatni odgryzie
Nos ostatniemu Gambecie.

Ostatni padnie dziennikarz,
Na straży ducha narodu,
A z nim ostatni kronikarz
Z braku materyi i głodu.

Tak wreszcie w uścisku bratnim
Zejdą się spokój i cnota,
Gdy za zdobywcą ostatnim
Zamkną się szpitalu wrota.

1877 r.

POCHWAŁA WALCA.

Mężowie mówią o walcu źle,
Zowią go tańcem bez sensu wciąż,
Nie mają racyi, dalibóg nie,
Czyż kiedykolwiek miał rację mąż?

Bo walc to taniec taki niewinny
A taki rzewny, melancholiczny,
Rzadko namiętny, częściej dziecinny.
A zawsze miły — a zawsze śliczny.]

I cóż w nim może kobieta, co
Złego uczynić? największy grzech,
Że jej do ucha podszeptnie kto
Coś pochlebnego — lub wzbudzi śmiech.

Że ją przytuli do piersi swych,
Że ściśnie rękę w obrotach tych,
Że mową i gestem.
Spojrzeniem, westchnieniem
Mówi jej bez końca: „Ach jestem!

„Ach jestem z tobą, Aniele mój?
Czemuż nie mogę tak zawsze być?
Wiecznie ubóstwiać ten uśmiech twój
I u nóg twoich bez końca żyć?“

I choć męża ciekawy wzrok
Na wszystkie strony szpieguje mnie,
Radby zbadać kaźden mój krok
Nic nie dostrzeże, oj nie, nie, nie!

Pan mąż się gniewa, patrzy ukosem,
Radby co prędzej ztąd wyrwać mnie,
Choć marszczy czoło, choć kręci nosem,
Tańca mi wszakże przerwać nie śmie.

A gdy po tańcu, pyta ciekawie,
Co tam ci mówił tamten lub ów,
Ja mu odrębnych rzeczy naprawię
Lub wręcz mu powiem: Bywaj mi zdrów.

Mężowie mówią o walcu źle
Zowią go tańcem bez sensu wciąż
Nie mają racyi, dalibóg nie;
Czyż kiedykolwiek miał rację mąż?

KARNAWAŁ

(Utyskiwania zakatarzonej mamy.)

Moja pani, ten karnawał,
To istne piekło dla matek,
Nawał wizyt, pracy nawał,
Ciągły kłopot i wydatek!
Achu, achu, a za trudy,
Tylko bezsenność i nudy,
Achu, achu, kaszel dławi
A człowiek się niby bawi.

Moja Madzia, wzór panienek,
Cicha, skromna, bez wybryków,
Zdarła już dziesięć sukienek
I dwanaście par bucików!
Achu, achu, a te kwiatki!
Co to za kłopot dla matki
Achu, achu, rękawiczki
Najmniej na cztery guziczki!

Na balach, istne skaranie,
Z całą tych mężczyznisk zgrają,
Wiecznie trzech przed nosem stanie,
I nic widzieć ci nie dają!
Achu, achu, te próżniaki
Patrzysz na ich z tyłu fraki,
Achu, achu, i łysiny
Swiejące się, jak patyny!

Ani toalecie żadnej,
 Ni tańcom się nie przypatrzysz,
 Ciągłe się na ich paradny
 Tylny front, ze zgrozą patrzysz,
 Achu, achu, tak jak długi
 Poszedł jeden, stoi drugi,
 Achu, achu, i do rana
 Masz ten rodzaj parawana!

Przy kolacyi, choć kotleta
 Zjadłabym, bo jeść mi chce się,
 Ale nieszczęsna kobieta,
 Jestem tu, jak w jakim lesie!
 Achu, achu, tych niedźwiedzi
 Zawsze pół kopy już siedzi,
 Achu, achu bo te zuchy,
 Przyszli napchać tylko brzuchy!

Zgryzłam przecież jakieś jadlo,
 Od siedmiu często boleści,
 Co tym panom z nosa spadło,
 Co im się w gardle nie mieści!
 Achu, achu, i do sali
 Wracam, by się bawić dalej,
 Achu, achu, w swym kąciku,
 Po mizernym kotleciku!

Na sali nieco przestroniej,
 Każdy jak bąk najedzony,
 Do domu co prędzej goni
 Wynagrodzić czas stracony!
 Achu, achu, ów czas drogi
 Dobranoc, szczęśliwej drogi,
 Achu, achu, Bogu chwała,
 Będę przecież coś widziała!

Ale próżno niebios wzywam,
 Sama daję za wygranę,

Sen mię morzy, więc się kiwam,
 Trąc biedne oczy zaspane!
 Achu, achu, a to granie,
 Klap, klap, klap, na fortepianie,
 Achu, achu, na kanapie
 Siedząc, zda się z dachu kapie!

I tak aż do siódmej zrana,
 Tok zgnieciony, suknia zmięta,
 Madzia na nic stańcowana,
 A ja, gdyby z krzyża zdjęta!
 Achu, achu, zgiełk się szerzy,
 Madzia na podłodze leży,
 Achu, achu, w kotylionie,
 Zaplątała się w ogonie!

Podnosi się z swym danserem,
 Ale także i z siniakiem,
 Bodaj z takim kawalerem,
 Tańczyć i na balu takim
 Achu, achu, a korzyści
 Żadnej zgoła oczywiście,
 Achu, achu, prócz sintaka,
 Bo kawaler dał drapaka!

Kończy się wreszcie zabawa,
 Równie przyjemna jak krótka;
 W przedpokoju więc rozprawa,
 Gdzie futerko, gdzie narzutka?
 Achu, achu, i spocone,
 Pakujem się otulone,
 Achu, achu, do karety
 Z kaszlem i grypą niestety!

Madzia nadzwyczaj kontenta,
 Z mazurowego dansera,
 Ale, cierpliwości święta
 Wolałabym epuzera:

Achu, achu, Boża kara!
Nikt się o panny nie stara,
Achu, achu, z tych danserów
Na lekarstwo epuzerów!

Kiedys, jakem była młodą,
Rychtyk byłam taką samą,
Po balach, też samą młodą
Włóczyłam się z moją mamą!
Achu, achu, lecz wytrwała
Mama za mąż mię wydała!
Achu, achu, żebym to ja
Tak umiała, pani moja!

Z domu Dziurdziulewiczówna.

Dumna mojem pochodzeniem
Nie ustąpię też nikomu
Edukacją i znaczeniem,
Oraz koligacją domu.

 Nie lepsza pewno odemnie
 Choćby i Radziwiłłówna,
 Jestem, proszę nie kpić ze mnie,
 Z domu Dziurdziulewiczówna.

Ód dzieciństwam nie przywykła
Do żadnej zgoła roboty,
Jak to moda Niemkom zwykła,
Ale strzegłam mojej cnoty;
 I usiłowaniem całym,
 Mojej głowy myślą główną
 Było zostać duszą, ciałem
 Prawą Dziurdziulewiczówną!

Tatko mój był niesłychanie
Mądry, i nie koniec na tem,
Bo raz dał takie śniadanie,
Że aż został deputatem,
 Mówił do mnie: to rzecz mała,
 Nie dość być deputatówną,
 Trzeba, żebyś ton swój miała,
 Jesteś Dziurdziulewiczówną!

A za tatkiem, moja mama,
Co mię też bardzo pieściła,
Jak była rozumna sama,
Tak mnie też i wyuczyła,

Żem szlachcianka dawnej daty,
 Księżnom i grafiankom równą,
 Że król Popiel był żonaty
 Z jakąś Dziurdziulewiczówną!

Miałam lokajczuka Jana,
 Wziętego prosto od sochy,
 I panneczkę, co mi zrana
 Kładła na nogi pończochy.

A i guwernantkę miałam
 Razem z panną marszałkówną,
 Ale uczyć się nie chciałam,
 Będąc Dziurdziulewiczówną!

Umiem jednak, proszę spytać,
 Rzeczy nie trudne i ojęciu,
 Wcale nie źle pisać, czytać,
 I rachować do dziesięciu,
 Nie wiele mi w głowę wpadło,
 Ale mi to wszystko równo,
 Mogę być głupią jak sadło,
 Będąc Dziurdziulewiczówną!

Po francuzku sobie mówię
 Tak jak i największe panie,
 I choć z kim, to się rozmówię
 I zagram na fortepianie.

Byłam panną niemilczącą,
 Jestem mężatką wymowną,
 A zawsze swój takt mającą,
 Słowem: Dziurdziulewiczówną!

Co roku na imieniny
 Albo jakie wielkie święto
 Bal u ciocieczki Balbiny
 Albo wuja prezydenta, —
 To bywało na nich żadna
 W tańcu mnie już nie wyrówna,
 Tylko słychać: jakaż ładna
 Dzisiaj Dziurdziulewiczówna!

Taka piękna parantela,
 Wszystko gdyby szczury w mące,
 I posag nie bagatela,
 Bo blisko cztery tysiące;

To też sąsiad za sąsiadem,
 Jak te wyżyły wszystko równo,
 Lecz wietrząc tylko stadem
 Za tą Dziurdziulewiczówną?

Popatrzawszy w lewo, w prawo,
 Wybrałam sobie jednego
 Kawalera z dobrą siawą,
 A przytem i nie biednego.

Żadnych fochów ze mną niema,
 Bo u mnie to rzecz jest główna:
 Męża za łeb zawsze trzyma
 Każda Dziurdziulewiczówna,

Żyjem z sobą już rok szósty,
 Jest sens w domu i dostatek,
 Mój Ignacy zdrów i tusty,
 Mamy już pięcioro dzieciak.

Po dwunastu dosyć będzie
 Bo ze mnie kobieta słowna,
 Taką każda była wszędzie
 Z domu Dziurdziulewiczówna.

Wiem, że chodzą o mnie gadki,
 Jakobym była złośnicą, —
 I że te mały sąsiadki
 Mają mnie za sekutnicę;

Ale w oczy wszystkie grzeczne,
 A mnie zresztą wszystko równo,
 Niech wiedzą, jak niebezpieczne
 Zajście z Dziurdziulewiczówną!

Byle w oczy każda grzeczna,
 Ale u mnie rzeczą główną,
 Niech wiedzą, jak niebezpieczna
 Kłótnia z Dziurdziulewiczówną.

STARE GRZECHY.

Miałem ja zabawną
Chwileczkę pociechy,
Spotkałem niedawno
Trzy stare me grzechy,
Moich namiętności
Młodzieńczych ofiary,
Dziś skóra i kości—

Wprawdziem i ja stary!

Eliza brunetka,
Z noskiem, królem nosów,
Trzpioteczka, kokietka,
Z lasem kruczych włosów;
Dziś ma nos czerwony,
Zmiętoszone rysy,
Humorek skwaszony,

Wprawdziem i ja łysy.

Madzia owa śliczna,
Taka ujmująca,
Taka poetyczna,
Taka jaśniejąca!
Dziś potwór kobiety,
O jedynym zębie...
Choć i ja niestety

Mam trzy tylko w gębie!

Różia to bóstewko,
Anioł w światłych lokach,
Zawsze w ustach z śpiewką,

I zawsze w podskokach;
Aż śmiech pusty bierze,
Ciężka jak ropucha, —
Choć to mówiąc szczerze
 I jam nie bez brzucha.
Zacne moje damy,
Słodkie ma marzenia,
Nic sobie nie mamy
Dziś do wyrzucenia.
Na to co w nas złego
Patrzajmy przez szpary:
Wyście do niczego,
 I jam dobrze stary!

Antosia z Plackich Drapińska, primo voto Kurkudowska.

Z wszystkich dam w świecie mi znanych,
Trzyma prym z zalet umysłu,
I manier dystyngowanych,
Powiadam to bez namysłu,
Jedna, a tą jest z pod Mińska,
Krótkich nóg, płaskiego noska,
Antosia z Plackich Drapińska,
Primo voto Kurkudowska!

Do arcydzieła takiego
Natura dłuta nie brała,
Ale z kloca dębowego,
Coś siekierą wyrąbała;
Wyszła z tego jakaś chińska
Pagoda, czy małpa włoska,
Antosia z Plackich Drapińska,
Primo voto Kurkudowska!

Pochwał nigdy nie słyszała,
Ale sama, ręczę za to,
Za cudo wdzięków się miała,
Bo była bardzo bogata,
Miała folwark koło Pińska,
I w Mozyrskim jakaś wioska,
Antosia z Plackich Drapińska,
Primo voto Kurkudowska!

Złapał się też głupiec na nią,
 Zgryzła go w dwóch krótkich latach,
 Lecz, że była wielką panią,
 Nie zabrakło jej na swatach;
 Poszły wietrzyć Jagodzińska,
 Kurkulina i Bębnowska,
 I dziś jest z Plackich Drapińska,
 Primo voto Kurkudowska!

Choćby i tego nie stało,
 Ot tak w lot na poczekanie,
 Byle się jej tylko chciało,
 Męża trzeciego dostanie,
 Sprowadzi go choć z Nerczyńska,
 Jeśli taka wola Boska,
 Antosia z Plackich Drapińska,
 Primo voto Kurkudowska.

Ale niechaj się już trzyma,
 I na bok z wszelką mitręgą,
 Żartów u Jejmości niéma,
 Jak chce czego, to chce tęgo;
 Temperament Abissyński,
 Chodzą po świecie pogłoski,
 U tej Antosi Drapińskiej,
 Primo voto Kurkudowskiej.

Słowem panie to kobieta
 Do wielkich rzeczy stworzona,
 A niemniejsza też zaleta,
 Że jest ogromnie uczona:
 U niej książka czy łacińska,
 Czy angielska czy żydowska,
 Wszystko czyta ta Drapińska,
 Primo voto Kurkudowska!

Osobistość to jest rzadka,
 I ona to sama czuje,

Szesnasta z rzędu mężatka,
Na jej wzór się modeluje;
Wszystkich panien koło Mińska,
Jedyna w tem życiu troska,
By być taką jak Drapińska,
Primo voto Kurkudowska!

IDEAŁY.

Dwie młode panienki w ogródku siedziały,
I tak szepcząc z cicha z sobą rozmawiały:
Maryniu kochana, powiedz mi tak szczerze,
Jak szczerze odmawiasz codziennie pacierze,
Jakie twe marzenia o szczęsnej przyszłości,
O przyszłym kochanku, o przyszłej miłości,
O tym, kto zawłada uczuciem twem całym,
I kto jest nareszcie twoim ideałem!

Ideał mój, Zosiu. jest piękny i młody
Blondyn, oczu jasnych, z wąsikiem bez brody,
Skromniutki w układzie, w obec mnie nieśmiały
A tylko w zdarzeniu dumny i zuchwały, —
Czuły, dźwięcznym głosem i oka wymową
Świadczący, że miłość dlań rzeczą jest nową,
Uczuciem pod wpływem mych uczuć dojrzałem..
Taki tylko może być mym ideałem.

A ja znów inaczej, kochana Marylko,
Wprawdzie i ja także chcę młodego tylko,
Ale nie blondyna, ja brunetów wolę,
Lecz marzę bruneta o spokojnem czole,
O duszy ognistej, zarówno czułego,
Jak pełnego życia, oraz namiętnego,
Którego by miłość ciągłym była szaleństwem,
Taki mem marzeniem, taki ideałem.

Gdzież mieszkać ty pragniesz? Na wsi. — A ja
w mieście,
Ale tylko dużem; w Paryżu, a wreszcie
Choćby i w Warszawie, byle teatr, bale,
Spaery, zabawy... Wsi nie lubię wcale!
— Ja zabaw nie pragnę, dla mnie dość schronienia,
I tej ciszy wiejskiej pełnej upojenia,
Wśród cudnej natury, pod niebem wspaniałem,
Byle obok niego, — byle z ideałem!

W lat piętnaście potem panienki widziałem,
Każdę poosobno z swoim ideałem.
Ideał Maryni łysy jak kolano,
Kłócił się z małżonką, że go budzi rano;
Zosi zaś ideał krótki i brzuchaty
Gderał, że nie w porę dała mu herbaty,
Ona go nawzajem nazwała cymbałem.
Trudna to doprawdy rzecz być ideałem!

Lekki humorysta!

[Jeżeli zamiast kazania
Filozoficznej mikstury,
Politycznego paplania,
A co już najmniej, broszury;
Wyrażać zwykłeś wesoło,
Myśl swoją, i prawdę czysto,
Wtedy wszyscy naokoło
Nazwą ciebie : humorystą ;
I wykrzykną : humorysta !
Niechże go piorunów trzysta,
Oto panie koncepcista
Lekki, lekki humorysta !]

Lekki, żeś nie tak poważny,
Jak bonz, lub Mandaryn chiński,
Lekki, żeś nie tyle ważny,
Co ołów, lub kamień młyński ;
Że się wznieść zdołasz niekiedy
Mijając sferę błotnistą,
Nad poziom głupców czeredy,
Zwiesz się : lek k i m h u m o r y s t ą !
I znów krzyczą ; humorysta !
Niechże go piorunów trzysta,
Oto panie koncepcista
Lekki, lekki humorysta !

Że mówisz, piszesz lub śpiewasz
Tylko to, co z sercem zgodne,
Że się rad z głupstwa naśmiewasz,
A czcisz tylko, co czci godne ;

Że dla sensu, i jasności,
 Poświęcasz formę kwiecistą,
 Strzegąc się osobistości
 Zwiesz się lekkim humorystą!
 I znów krzyczą: humorysta!
 Niechże go piorunów trzysta,
 Oto panie koncepcista
 Lekki, lekki humorysta!

A choć niejedną wypiłś
 Żółci własnej i łez beczkę,
 Choć każdą życiem przeżyłś
 Śpiewaną przez cię piosneczkę;
 Że nie klniesz przebytą w ciszy
 Drogę grząską i ciernistą,
 A łkań twoich nikt nie słyszy,
 Zwiesz się lekkim humorystą!
 I znów krzyczą: humorysta!
 Niechże go piorunów trzysta,
 Oto panie koncepcista,
 Lekki, lekki humorysta!

A jeśli jeszcze, broń Boże,
 Nie zgorszym jesteś Polakiem,
 I przyznajesz się w pokorze,
 Że nie umiesz być ślimakiem,
 Faryzeuszem, dewotem,
 I potwornym egoistą;
 Wtedy nie wąp nawet o tem,
 Że cię nazwą: humorystą!
 I wykrzykną: humorysta!
 Cha, cha, cha, cha koncepcista,
 Chi, chi, chi, chi pessimista
 Nasz kochany humorysta!
 I wykrzykną: humorysta,
 Niechże go piorunów trzysta.
 Oto panie koncepcista,
 Lekki, lekki humorysta!

K Ł Ó T N I A

Mociumdzieja z Mociadzika.

Wasan starzeć się zaczynasz,
To wcale nieprzyzwoicie,
Czy Asindzij przypominasz
Dawne nasze dobre życie,
Ja go zwałam Bartłomieju!

Aść mnie przecudną Moniką;
Czy tak Moci Dobrodzieju?

— Tak jest, Mocia Dobrodziko!

Aść przystojnym był ułanem,
Ja byłam hożą dziewczyną,
I zgodnie ze swoim stanem
Lubiłeś karty i wino,
Wszak raz na hrabi Pocieju
Wygrałeś folwark Sonico;

Czy tak Moci Dobrodzieju?

— Tak jest, Mocia Dobrodziko!

Zgrabnym Aść byłeś tancerzem,
A jakimż trzpiotem do tego,
To bywało, jak się zbierzem,
Tańcujem do upadłego.

Pamiętasz «mio amico»

Anglez na balu w Oświeju?

— Pomnę, Mocia Dobrodziko

— I ja pomnę Moci Dzieju!

- Dawne czasy, Mocia Dziko,
- Dobre czasy, Moci Dzieju!

Jak to my z tym czasem lecim.

Czy to Wasan obliczyłeś,

Wszakże to w osiemset trzecim

Afekt mi swój oświadczyłeś

Przed całą naszą publiką

W tydzień po świętym Andrzeju.

- Tak jest Mocia Dobrodziko,

- Widzisz Wacan Moci Dzieju!

Mimo damskiej moderacyi,

I nagabania wszelkiego,

Trzeba było warjacyi

Wyjść za wisusa takiego;

Dowiodłam nie brak oleju

Widząc w tem własne ryzyko,

- Poszłeś z kwitkiem Moci Dzieju,

- Poszłem z kwitkiem Mocia Dziko,

- Poszłeś z kwitkiem, Moci Dzieju!

- Tak niestety Mocia Dziko!

Potem przepadłeś bez wieści

I długie minęły lata,

Bo lat z górą ze trzydzieści,

Używałeś sobie świata:

Dziś powrócić masz myśl dziką

Do dawnego przywileju.

- Zgoła. Mocia Dobrodziko!

- Tak, tak, Moci Dobrodzieju.

- Kłamstwo, Mocia Dobrodziko,

- Prawda święta, Moci Dzieju!

Przewąchałeś nosem worek,

Nie źle zgoła napełniony.

I porządny w mieście dworek,

I folwarczek opatrzony.

Gore czapka na złodzieju,

Byłoby na wdowę Cliquot,

Czy tak Moci Dobrodzieju?

- Kłamstwo Mocia Dobrodziko!

- Tak, tak, Moci Dobrodzieju,
- Nie, nieprawda Mocia Dziko.

Ależ ja wzajem Imości
Przypomnę niektóre grzechy:
Kto po śmierci jegomości
W miłostkach szukał pociechy;
Kto choć pości na oleju,
Lubi baliki z muzyką?

- Kłamstwo, Moci Dobrodzieju,
- Prawda szczerą, Mocia Dziko!
- Głupiś, Moci Dobrodzieju?
- Mądraś wielce Mocia Dziko!

Pozwól dokończyć nauki:
Kto w tym wieku się sznuruje,
Czarnej używa peruki.
Nawet brwi sobie farbuję,
A na twarzy róż na kleju
I chemia z całą fizyką...
— Głupiś Moci Dobrodzieju!
— Mądraś wielce Mocia Dziko?
— Precz mi z oczu Moci Dzieju!
— Do nóg padam Mocia Dziko!

Ciocia Klara i ciocia Barbara.

Dwie ciotunie ładnej Zosi: stara panna Klara,
I wdowa po czterech mężach, sędzina Barbara,
Otrzymawszy list od Zosi pewnego wieczora,
O doszłych jej zaręczynach za pana Melchiora,
Przyklasnąwszy wykrzyknęły! Patrzajcie nowina!
O to Zula! — Ależ Zula! — Oto zuch dziewczyna!
No Zula! — tak jedźmy do niej, rzecze panna Klara!
Jedźmy zaraz! w ślad dodaje sędzina Barbara.

Przyjechały — dawaj ścisnąć i całować czule,
Te najdroższą, tę najmilszą, tę jedyną Zulę.
— O, jakiż on? — a jakże on? — No cóż, czy bogaty?
— No gadajże — czy z wąsami — a wiele intraty?
— Jakto było? — skądże jemu? — w jakiej mieszka
[stronie,
— A czy koczem czy kareta? — a jakie ma konie?
Sto tchem jednym jej zapytań robi panna Klara,
Sto dwanaście w ślad dodaje sędzina Barbara.

Dowiedziały się wszystkiego — Blondyn, lat trzy-
[dzieście,
Folwark daje mu dzierżawy rubli tysiąc dwieście;
Drugi, w którym mieszkać będą, cały murowany,
Konie siwe, stangret Marcin — bardzo zakochany,
(Nie Marcin ale pan jego) — Meble mahoniowe,

Fortepian będzie wiedeński — a obicia nowe.

— A, czy mówi po francuzku? pyta panna Klara,

— A, był kiedy za granicą? dodaje Barbara.

Był, i mówi. — No, to dobrze, a charakter jaki?

— Anioł ciociu! — Bo to widzisz bywa czasem taki,

Że przed ślubem zda się anioł, a potem po ślubie,

Czysty djabeł — Ty wiesz Zosiu jak ja ciebie lubię,

Jak cię kocham, więc powinnam z serca tobie radzić,

Jak masz z mężem postępować, i jak go prowadzić,

— A! tak, jak masz go prowadzić, rzecze panna

[Klara,

— Jak masz z mężem postępować, dodaje Barbara.

Naprzód powiem tobie, zawsze Zosieczko kochana,

Mąż powinien cię dwa razy pocałować zrana,

Na dobry dzień, po herbacie, tyleż po obiedzie;

Jak gdzie z pokoju wychodzi, albo dalej jedzie,

Pożegnać się z tobą musi, i popieścić trocha;

Jak raz tego nie dopełni, to już cię nie kocha.

— O tak, tak, nie kocha ciebie, rzecze panna Klara,

— Mówię, że już cię nie kocha — dodaje Barbara.

Potem jeszcze, słuchaj dobrze mnie Zosiu kochana,

Że on ciebie zdradzać zechce, bądź przygotowana,

Bo mężczyzna kaźden taki, nie myśl że to żarty,

Takim był i mąż mój pierwszy, a takim i czwarty,

Więc należy mieć ogromny takt, i doświadczenie,

Nie rachuj na delikatność, ani ich sumienie,

— O tak, tak, nie rachuj na nie, rzecze ciocia Klara,

— To istoty bez sumienia — dodaje Barbara.

Zatem trzeba z nim rozumnie, żeby zawsze wiedział,

Że go znasz, a pilnuj dobrze — żeby w domu siedział,

A bez ciebie ani za próg: — jedzie, ty z nim razem.

Nigdy żadnego zboczenia nie przepuść mu płazem;

Spojrzy na jaką kobietę, wymów zaraz z góry,

Żaden list niechaj nie przejdzie bez twojej cenzury.

— O, tak kaźden list przeczytaj, rzecze ciocia Klara,

— Ani go się o to pytaj — dodaje Barbara.

Nigdy mu nie żałuj sceny, a przynajmniej scenki,

Jak go znajdziesz obok jakiej damy, lub panienki.

Żeby nigdy się nie bawił długo przy kobiecie,
 I wiedział że ty dla niego wszystkim na tym świecie;
 Zrób mu scenę jak na termin do domu nie wróci,
 Rób mu na dzień cztery sceny, jak się bałamuci;
 — O! Tak, rób scenę po scenie, rzecze panna Klara,
 — Słowem, ani dnia bez sceny — dodaje Barbara.

Bo my zawsze nieszczęśliwe, i zawsze zdradzone,
 Który z nich tak jak należy, kocha swoją żonę,
 Każdy z nich taki bałamut, że niech Pan Bóg broni,
 Ja ich przecież czterech miałam, to wiem jacy oni,
 Każden z nich byłby mię zabił z zgryzoty i nudy,
 Żeby sam (świeć jego duszy) nie był umarł wprzód.
 — Wieczny więc na odpoczynek, rzecze ciocia Klara,
 — In Saecula saeculorum, dodaje Barbara.

Ależ ciociu, ja przysięgnę przecież posłuszeństwo.
 — Głupia jesteś moja Zosiu, dowiedz się: małżeństwo
 Dla szczęścia i dla spokoju ludzi moja droga,
 Zostało ustanowione przez samego Boga,
 A jak szczęście albo spokój pytam się być może,
 Jeśli mąż nie jest trzymany w potrzebnym rygorze?
 — O tak rygor przedewszystkiem — rzecze ciocia Klara,
 — Rygor, rygor, nic nad rygor — dodaje Barbara.

Czy i resztę wypowiedzieć? — Nie! na rany Boga:
 Szanuj skromność swą dziewiczą, Basiu moja droga,
 Albo zostaw to już matce, niech ona jej powie,
 Lepiej niechaj się od matki, jak skąd inąd dowie,
 — Masz rację siostruniu droga, więc na dziś Zo-
 [siecisku,

Dosyć będzie, resztę mama mój ty aniołeczku
 — Wytlómaczy ci obszernie, rzecze panna Klara,
 — Wytlómaczy akuratanie, dodaje Barbara.

Sens moralny, że wolałbym moją narzeczoną,
 Przez dwa półki kawaleryi widzieć prowadzoną,
 Jak przez jedną taką ciotkę zaprawioną w cnotcie,
 A cóż mówić już u diabła przez dwie takie ciocie,
 I wolałbym z dwojga złego, jakem człowiek szczery,
 Dostać trochę apopleksji a nawet cholery,
 Jak wziąć żonę edukacji słodkiej panny Klary,
 I wdowy po czterech mężach sędzinej Barbary!

SKUTKI CYWILIZACYI.

(Gawęda).

Pan Joachim, mój sąsiad i myśliwy stary,
A tem samem gawęda i gderacz bez miary,
Gdyśmy raz z polowania wrócili wieczorem
Z torbą dobrze nabitą i dobrym humorem,
Który mile przyświecał w jasnym starca oku,
Taką do mnie miał mowę, przy szklaneczce groku:
«Mój Boże! smutno myśleć, że przyjdą te czasy,
Kiedy te nasze puszcze, bagna, błota, lasy,
Tak dzikie, ale razem tak swojskie i nasze,
Czarne wioski, złe groble, po puszczech szałasze,
Te mosty na wpół zgniłe, nieozdobne dwory,
A w nich te wielkie gumna, niezgrabne obory,
Skutkiem cywilizacyi dobroczynnych darów,
Odmienią się zupełnie; że z owych obszarów,
Po których dziś bujamy lekko z strzelbą w dłoni,
Gdzie nam nikt ziemi, nieba, powietrza nie broni,
Porobią się maleńkie dziedzictwa, własności,
Czyste, schludne, porządne, pełne przyjemności
Na pozór, ale w których zawiść, chciwość, zdrada
Gnieździć się wiecznie będą, gdzie sąsiad w sąsiada
Okna i serce ciągle wglądając ciekawie,
Skąpić mu będzie ziemi, i powietrza prawie;
Gdy z napływem Francuzów, Holendrów i Niemców,
Chciwych naszego chleba zawsze cudzoziemców,
Mułem cudzoziemszczyzny zapłynie gościnność,
Święta nasza litewska, litość, dobroczynność,
I ta, choć z wielu względów ze złej uważana
Strony, zależność chłopca od swojego pana,
Który pan choć nierzadko szturchnie i połaje,
Ależ zato w potrzebie zapomogę daje,
I wskazując na obszar łąk, lasów i roli
Mówi do włościanina: «bierz bracie do woli,
Byleby dla mnie było». Inaczej to będzie,
Gdy się cywilizacya porozlewa wszędzie
I wciśnie w kaźden kątek dzikiego dziś kraju,
Wtedy suum cuique w chwalebnym zwyczaj

Będzie, i każdy swoje dzierżąc w ciasnej dłoni
 Za pieniądze kup sobie, darmo, niech Bóg broni.
 Wtedy biedny Poleszuk, dziś przyzwyczajony
 Dla spieczenia kawała słoniny wędzouej
 Zrąbać sosnę masztową, oj będzie niemało
 Musiał potem się zalać, by ogrzać swe ciało,
 Bo mu jednej gałązki niemiecka czereda,
 Choćby umierał z chłodu, bez opłaty nie da!
 Oj te puszcze, te lasy, te wielkie obszary
 Obsite w ptactwo, zwierza, wprawdzie i w komary,
 Które nie są zabawne, — jakże mnie was szkoda,
 Kiedy wasza dziś dzika, lecz piękna przyroda
 Ręką cywilizacyi tak się przeistoczy,
 Że ani nasze serce, ani nasze oczy
 Nie znajdą ani śladu tych rzadkich piękności,
 Które były rozkoszą dni naszej młodości!
 Patrz, w tem miejscu gdzie bywał sławny tok

[głuszcowy,

Jakie ogrody, pola, i dwór jaki nowy,
 Malowany i piękny, ogrodzony szczelnie,
 A w nim Niemców rodzina tyje najbezpieczniej;
 Z tego mchu, gdzie to kiedyś z pod wyżlicy suki
 Biłem po sto sztuk naraz młode ciecieruki,
 Holender zrobił łąkę, zieloną aż miło,
 A biednych ciecieruków jak nigdy nie było;
 W tym ostępie, gdzie dziki trzymały się wiecznie,
 Czterdziestu kolonistów Niemców, najbezpieczniej
 Pociąwszy piękny ostęp w drobne kawałeczki,
 Żyją sobie jak wieprze wygodnie, bez sprzeczki,
 I jedząc wasserzupę na główną potrawę,
 Z żołądzi co dzik zbierał, piją teraz kawę!
 Tę puszcę, w której nieraz niedźwiedz łohwę robił,
 Patrz jak przemysł odmienił, ozdobił, przerobił,
 I w miejscu, gdzie marucha rzucał się pod psami,
 Aż legł ugodzon kilku trafnymi strzałami,
 Gdzie trąby nasze grały, pito pogrzebowe,
 Dziś Francuz pozakładał fabryki cukrowe,

I na błocie, gdzie kiedyś były wiuny, raki,
 Stoi komin parowy — i rodzą buraki!
 Niedźwiedzia ani słychu, ależ za to panie
 Samolubstwo Francuza za niedźwiedzia stanie,
 Bo prędzej by cię niedźwiedź w łohwie przyjął
 [wdzięcznie

Niżli spekulant Francuz, lecz za to ci zręcznie
 Naplecie i nagada dziwów, gdy oceni
 Zwłaszcza, że ci coś wyrwać może z twej kieszeni.
 A na teźże grobelce, gdzieśmy bili słomki,
 Patrz, dziś jakieś szwajcarskie, nieszwajcarskie domki,
 I tam gdzie człowiek z biedą po brodach i pniakach
 Przez mostek rozwalony i po okrągłakach
 Godzinę wiorstę jechał, i złamał oś nową,
 Widzisz lecającą z świstem machinę parową,
 A za nią szereg długi wagonów z Niemcami,
 Towarem rozmaitym, oraz Francuzkami,
 Które jadą, bo wiedzą, że w tym kraju płacą
 Nietylko za sam rozum, lecz Bóg wie nie zaco.
 Szkoda mi cię grobelko! nieraz ja w wiosniany
 Piękny wieczór majowy stojąc zadumany
 Na tobie, zanim pierwsza słomka zachrapała
 Lubilem słuchać głosu, którym nasza cała
 Piękna, dzika przyroda, tem piękniejsza może,
 Wielbiąc Twą wielką dobroć, chwaliła Cię Boże
 Tą modlitwą najszczerzą, czystą, nieudaną
 Bo z szczęścia pochodząca — nawet niemyślaną;
 Te słowiki gdzieś w gąszczu, te na mchu żórawie,
 Ten kszzyk gdzieś ponad lasem, chruściel w gęstej

[trawie,
 Te chrząszcze i te żuki, wszystko to Ci w śpiewie
 Boże mój, wdzięczność głosi, choć o tem i nie wie!
 Jeden człowiek tę dobroć ocenić Twą może
 A jakże Ci dziękuje rzadko Wielki Boże!
 Bo zajęty sam sobą nawet zapomina
 Obowiązków wdzięczności, ciążących na syna
 Teźże wielkiej przyrody — i w głupiej swej dumie
 W głupiem zarozumieniu, przy nędznym rozumie
 Wyrobiwszy teorią ciasną i dziecinną
 Dowodzi, że to tak jest — bo tak być powinno;

I pochlebiając własnej dumie oraz złości,
 Nawet dla Boga nie chce mieć uczuć wdzięczności!
 A czegoż to jest skutkiem? także tej oświaty,
 Której kraj nasz choć biedny — lecz sercem bogaty
 Nie miał jeszcze do tyła, by dla swej wygody
 Zaparł się Boga, bliźnich i wielkiej przyrody,
 Przyrody! którą codzien w wszystkich kątkach świata
 Zabija i zaciera postęp i oświata!
 Używajmyż jej darów, wdzięków i hojności,
 Póki je jeszcze mamy, pókiśmy w możności
 Patrzyć na nią jak dzisiaj — i módlmy się rzewnie,
 Jak się modli natura cała nasza śpiewnie
 Dziękując Najwyższemu za tak wielkie dary.
 Bo jak zniknie nam kiedyś ten świat z oczu stary,
 Jak rozmnoży się ludność i napcha się wszędzie,
 Będzie massa ludności, ale serc mniej będzie!
 I w tym napływie ludzi, wyobrażeń nowych,
 My sami zapomnimy o starych a zdrowych,
 Zasadach — a wyszedłszy z dobrego nałogu,
 Gotowiśmy zapomnieć o wdzięczności Bogu!
 Lecz jeszcze to daleko, i jeszcze w tym stanie
 Póki my, Bóg pozwoli, że wszystko zostanie
 I daj to panie Boże! bo wolę głos krzyka
 Beczącego nad błotem, jak goddam Anglika,
 Wolę wrzaski żurawia co jagody zbiera,
 Jak paplot francuskiego komiwojażera,
 Wolę bełkot cietrzewia, jak szwargot niemiecki,
 Milszy mi talent głuszca, jak tenor wenecki.
 A pewnie o parcyalność nikt mnie nie obwini,
 Gdy powiem, że przekładam rochot dzikiej świni
 Nad głos pełen «pyszności» podróżującego
 Mit grousse fanaberie żyda warszawskiego,
 Gdy z niechcenia oświadczą, że «z wizytem» jedzie
 Do księcia, co u niego «biwa» na obiedzie.
 A jednak to tak będzie kiedyś, i to tylko
 Dobrze, że ani teraz, ani za lat kilka
 Ledwie za kilkanaście, a nim to nastanie,
 Już nas wtedy nie będzie — nieprawdaż Mosanie?»

Deniskowicze 15 kwietnia 1856 r.

PANIENKI.

Śliczna to rzecz te panienki,
Takie wdzięczne, takie miłe,
Mają powab, mają wdzięki
Nie zbyt chude, nie otyłe.
Wszystko w porę, wszystko w miarę,
Zacne, skromne, czułe, tkliwe,
Nie zbyt młode, nie za stare,
Chcesz, są ciche, chcesz są żywe.

Słowem, takie to stworzenia
Że trzeba być chyba głazem,
By nie ginąć z zachwycenia
I nie kochać dziesięć razem;
Próżno mówią, żeśmy trzpioty
(Trudno naturę przemienić),
Ale jak nie mieć ochoty
Z sześciu na raz się ożenić.

I niejeden by to zrobił,
Lecz naprzód, za to wieszają,
A potem, nad tem porobił
Uwagi, które zmiękczają
Ten jego zapał szalenie,
A głównie ma to na względzie:
Dobrze, lecz jak się ożenię,
Żona już panną nie będzie.

X [Panna, to jest ta istota,
Co żyje ambrozją świata,

Karmi się uczuciem, cnotą,
 Nie chodzi, po niebie lata;
 Ssie rosę z kwiatów kielicha,
 Subtelną mgłą się okrywa,
 Smutna — jak anioły wzdycha
 Wesoła — jak ptaszek śpiewa.]

Żona inaczej niestety!
 Jej ambrozyą wołowina,
 Rostbef, befsztek lub kotlety
 A rosa, butelka wina;
 Lata, lecz po ziemi koczem,
 A do tego czwórka koni,
 A jej wdzięków, mgły przeźrocem
 Dwustu łokci nie osłoni!]

Smutna — to ci łeb świdruje,
 Wesoła — dalejże skakać,
 Za granicę chętkę czuje,
 A nie zechcesz — zacznie płakać;
 Ofukniesz się — to cię złaje,
 Nazwiesz to głupstwem, warjacją,
 Wtedy już spazmów dostaje
 I to jest ultima ratio...

Nikt kobiety nie przekona
 W tym stanie pełnym słodyczy,
 Choćbyś sprowadził Newtona
 I z Newtonem nie wyliczy
 Że kupić, lub zrobić czego
 Nie można. — Masz rubli trzysta?
 — Nie mam. . — No to cóż wielkiego?
 Daj mi tymczasem czterysta...

I ty sam o własnej sile
 I z Newtonem, mógłbyś zgłupieć
 Nimbyś dowiódł, że za tyle,
 Czegoś tam nie można kupić;
 Bo na wszystko jest gotowa
 Racja, co wszystko przecina,

Że tak robi marszałkowa,
I to ma pani hrabina.

Marzyłeś biedny człowieku,
O cichem szczęściu domowem...
A żyjesz wśród plotek steku
I codzień w warchole nowym!
Diabeł ci się w życie wcielił,
Patrzysz okiem pełnem grozy,
Na dom, co ci się podzielił
Na dwa przeciwne obozy;

Garderobna faworyta,
Osoba zasad tak stałych,
Klucznica, zacna kobiéta,
Psują ci krew po dniach całych.
Wypchnąłeś za drzwi klucznicę,
I stałych zasad osobę,
Masz na trzy dni we łzach lice,
I spazmów na całą dobę.

I tam dalej — i tam dalej
A to wszystko idzie z tego,
Że ją głupio wychowali
W domu papy rodzonego;
Ten siał hreczkę safandula,
Mama gęś jakich dość widać,
Tę tylko potrzebę czuła,
By córunię za mąż wydać.

Z pomocą więc kilku ciotek
Z głupoty powszechnie znanych,
W gwarze parafialnych plotek,
I z teoryj niesłychanych,
Dowiaduje się panienska,
Że kobieta jest aniołem,
Przed którym świat cały klęka
Uderzając w prochu czołem.

I odbiera wychowanie,
Jak je wszystkie odbierają,

Śpiewa, gra na fortepianie
 Kiepsko, tak jak wszystkie grają,
 Wie, że Paryż nad Sekwaną,
 Po francusku paplać może
 Tańczy es, ce, byle grano,
 Rachuje!.. pożał się Boże!

Mama wielka gospodyni,
 Co to liczy każde jaje,
 Ale na karm jednej świni
 Sześć beczek zboża wydaje;
 Wyuczyła się smażenia
 Dwustu gatunków konfitur
 I w istocie, podziwienia
 Wart jej tortowy garnitur.

Na tem koniec, wprawdzie może
 Ona i więcej by chciała
 Nauczyć, ależ mój Boże,
 Kiedy sama nie umiała.
 A miała to przekonanie,
 Niczem w świecie niezwalczone,
 Że przez takie wychowanie
 Cudo wyda, nie zaś żonę.

To też się za cudo miała,
 A dzieląc mamuni wiarę,
 Wychodząc za mąż mniemała,
 Że robi z siebie... ofiarę!
 Wynalazek to jest nowy,
 I to arcy głupie zdanie,
 Jak bukiet fajerwerkowy
 Kończy panien wychowanie.

Z tem, z wyprawą, z duszą rzewną
 Krasą młodości na licu,
 I z posagiem, który pewno
 Znajdziesz kiedyś na księżycu,
 Ze skrofułami w dodatku
 Szczęsny człeku chwytasz żonę

I masz w zysku naostatku
Życie powyżej skreślone.

Z dodatkiem jeszcze śmieszności,
I od samego początku
Scen romansowej zazdrości,
Wśród śmiecia i nieporządku.
Bo choć panienki najchętniej,
Stroją się, mizdrzą, i czubią,
I piękno lubią namiętnie,
Lecz pyłu ścierać nie lubią.

I odznaczają się miernie,
Mimo ukształcenie mądre,
Porządkiem — z czego niezmiernie
Przypominają nam flondrę —
Będą miały zalet wiele
Nawet i talentów trochę,
Lecz rzadko, oprócz w niedzielę,
Czystą na nogach pończochę.

Znajdzie zatem mąż w niej mnóstwo
Zalet różnego gatunku,
Ale rzadko ochędóstwo,
Nigdy żadnego rachunku.
Praktyki nadzwyczaj mało,
Logiki nie wiele więcej,
A kaprysów furę całą,
I pretensyj sto tysięcy.

To, z domowej edukacji,
Lecz weź pannę wychowaną
W instytucie, tyśiąc racyi
Znajdziesz codzien, w wieczór, rano,
Kląć minutę, w której dzika
Myśl ci przyszła szukać żony,
Bo to będzie dobrodzika,
Chryste Jezu umęczony!

Tamta wie choć, że śmietana
Z mleka krowiego pochodzi,

Wie że słońce wschodzi z rana
 A popołudniu zachodzi,
 Wie, że żyto rośnie w polu
 I że chleb się robi z żyta
 Pozna ziarno od kąkolu
 A nie pozna, to się spyta.

Ta nic zgoła — lecz zna za to
 Wszystkie małżeństwa tajniki,
 Pragnie wyjść za mąż bogato,
 Miesza się do polityki,
 Wie już kto z kim romansuje
 Zna intryg miejskich zasady,
 I powołanie już czuje
 Pójść w znajome sobie ślady.

Taka jejmość, nie dość że cię
 Zagryzie, zmęczy, zadręczy,
 Że ci struje życie w świecie,
 Jeszcze cię w rogi uwieńczy;
 Takich proszę najgoręcej
 Na sąsiadki, w każdej porze,
 Na sąsiadki, co najwięcej,
 Lecz na żony — chowaj Boże!

Czy przyjdzie kiedy do głowy
 Tym co raczą nami władać,
 System jeden myślą zdrowy
 Pensyony na wsi zakładać.
 Gdzieby się panny kształciły
 W przyszłych zatrudnień praktyce
 I nie zawsze wychodziły
 Na same gęsi, lub lwice.

Gdyby obok francuzkiego,
 Któremu nie przeczę wcale,
 Było coś i praktycznego,
 Coś o krowach, o nabiale,
 O bieliznie, o okryciu,
 I o kuchni choćby mało,

Coby w przyszłym panny życiu
Nadzwyczajnie się przydało!..

To wszystko z rachunkowością
Potrzebną nader do tego,
Bez czego z całą mądrością
Panny będą, do niczego.
Myśl to jasna, prosta, czysta,
Niezbita trudnością żadną,
Rzecz więc nader oczywista,
Że na nią nigdy nie wpadną.

DZIONEK OBYWATELSKI.

(Epizod z życia starego celibatera.)

Pietrek! która godzina?

— Po jedenastej Panie,

Nakrajana wędlina

Zastawione śniadanie —

— Co na dworze dziś rano?

— Deszczyk pada niewielki...

— Przepadło moje siano! } bis

Dobądź z szafki butelki. }

Pietrek! która godzina?

— Blizko pierwsza już panie...

— Jeść mi się chceć zaczyna

Dalipan niesłuchanie...

Co na dworze? — Pogoda,

Deszczu ani kropelki...

— Nie ma deszczu? to szkoda. } bis

Daj mi z tamtej butelki. }

Pietrek! która godzina?

-- Druga... Waza na stole

Dobry rosółek z lina...

— A cóż tam po rosole?

— Tylko pieczeń wołowa,

— Hm, hm, obiadek krótki.

Jakoś boli mię głowa, } bis

Trzeba napić się wódki. }

Pietrek! która godzina?

— Po piątej dawno Panie

Z panem sędzią, sędzina
 Jada, niechaj pan wstanie!
 — Jada? biegnij, prosz siedzieć.
 Ach! kochany Franciszek,
 Przyjechał mnie odwiedzić... } bis
 Daj mi wódki kieliszek.

Pietrek! która godzina?
 — Dziewiąta zaraz Panie...
 — Niedomaga sędzina
 Nocować tu zostanie;
 A jaka tam kolacya?
 — Będzie potrawa z główki...
 — Panie sędzio jest racya, } bis
 Wypić cynamonówki.

Pietrek! która godzina?
 — Po północy już Panie...
 — Czy śpi pani sędzina?
 — At śpi dawno Mospanie.
 — I nam spocząć już pora,
 Ale panie Franciszku
 Canonica to hora,
 Jeszcze choć po kieliszku! } bis

Pietrek! która godzina?
 — Pierwsza... czyż pan nie widzi...
 — A śpi pani sędzina?
 — Śpi, i pan niech spać idzie...
 — Idę, trafię bez kija,
 Ale tak do poduszki...
 Pietrek... Ave Maria!
 Daj kieliszek staruszki!
 Gratias plena Maria!
 Wytnę raz do poduszki.

Wspomnienia tkliwej wdowy o nieboszczyku.



Oj! kochany mój sędziulku, znałeś mego Jana,
Co! to był za człowiek rzadki, i dusza kochana,
Przez dwadzieścia lat pożycia, jednej przykrej chwili,
— Znałem, znałem, i widziałem.. (ns.) ciągle się kłó-
[cili —

Znałeś go!.. jaki gospodarz, jaki to rozsądek
A w domu i interesach, ach! jakież porządek
Jak Salomon nieraz sprawy najtrudniejsze sędził...
— Oj wiem pani Dobrodziejko... (ns.) że żyd
[wszystkiem rządził...

A urzędnik jaki z niego, prawda? wyborowy,
Co to w nim za poświęcenie, uczynność, sąd zdrowy,
To też każdy uciśniony rady jego wzywał...
— Święta prawda... (ns.) nie czytając wszystko pod-
[pisywał.

A moralność jakaż piękna, i rzetelność jaka!
Ręka zawsze w pogotowiu na pomoc biedaka.
A w pieniężnych interesach jakaż czystość święta...
— Prawda... (ns.) wszystkim kredytorom pokre-
[cił procenta...

Nałogu choć na lekarstwo... Nieboszczyk kochanek
Jak ognia tak się wystrzegał zabaw i hulanek,
Czasem w wielkie jakie święto, kieliszek staruszeki...
— Tak, tak... (ns.) ale tylko codzień gul, gul, do
[poduszki...

A jaka to w nim nauka, i ogłada w świecie
Przez trzy lata słuchał kursów w Uniwersytecie,
To też o czym tylko chciałeś, mogłeś z nim pogadać...
— Wiem, wiem, (ns.) dwie kopy kołdunów na obiad
[mógł zjadać.

A dla mnie jakież opiekun, i małżonek z niego
Zda się nie pożałowałyby i mleka ptasiego
O! bo też i dla niego dziwnie byłam słaba..
— Świadkiem jestem... (ns.) zawsze mówił: oto Heród
[baba!

A i ojcem był najlepszym: syn nasz pan Franciszek
Dziś dziedzicem jest Kielbasicz — Jędrus Kapuciszek,
Wszystkich dokoła obdzielił, choć sam nie używał...
Tak, tak — (ns.) ale za to wszystkich zięciów po-
[okpiwał.

Oddany całkiem domowi, jak wół pracowity,
Nie dla niego wymyślili karty i kobiety.
Gdyby grzechu śmiertelnego bał się czasu straty...
Prawda!.. (ns.) sypiał od obiadu do samej herbaty...

Praca też go i dobiła... pracował nad siły
Nadwyreżył tem swe zdrowie, nieboszczyk mój miły.
Umarł wtedy gdy się cieszyć swą pracą sposobił...
— Tak jest, umarł!.. (ns.) i to jedno dobre w życiu
[zrobił...

SKUTKI CYWILIZACYI.

(Gawęda).

Pan Joachim, mój sąsiad i myśliwy stary,
A tem samem gawęda i gderacz bez miary,
Gdyśmy raz z polowania wrócili wieczorem
Z torbą dobrze nabitą i dobrym humorem,
Który mile przyświecał w jasnym starca oku,
Taką do mnie miał mowę, przy szklaneczce groku:
«Mój Boże! smutno myśleć, że przyjdą te czasy,
Kiedy te nasze puszcze, bagna, błota, lasy,
Tak dzikie, ale razem tak swojskie i nasze,
Czarne wioski, złe groble, po puszczech szałasze,
Te mosty na wpół zgniłe, nieozdobne dwory,
A w nich te wielkie gumna, niezgrabne obory,
Skutkiem cywilizacyi dobroczynnych darów,
Odmieniają się zupełnie; że z owych obszarów,
Po których dziś bujamy lekko z strzelbą w dłoni,
Gdzie nam nikt ziemi, nieba, powietrza nie broni,
Porobią się maleńkie dziedzictwa, własności,
Czyste, schludne, porządne, pełne przyjemności
Na pozór, ale w których zawiść, chciwość, zdrada
Gnieździć się wiecznie będą, gdzie sąsiad w sąsiada
Okna i serce ciągle wglądając ciekawie,
Skąpić mu będzie ziemi, i powietrza prawie;
Gdy z napływem Francuzów, Holendrów i Niemców,
Chciwych naszego chleba zawsze cudzoziemców,
Mułem cudzoziemszczyzny zapłynie gościnność
Święta nasza litewska, litość, dobroczynność,

I ta, choć z wielu względów ze złej uważana
 Strony, zależność chłopca od swojego pana,
 Który pan choć nierzadko szturchnie i połaje,
 Ależ zato w potrzebie zapomogę daje,
 I wskazując na obszar łąk, lasów i roli
 Mówi do włościanina: «bierz bracie do woli,
 Byleby dla mnie było». Inaczej to będzie,
 Gdy się cywilizacya porozlewa wszędzie
 I wciśnie w każdy kąt dzikiego dziś kraju,
 Wtedy suum cuique w chwalebnym zwyczaju
 Będzie, i każdy swoje dzierżąc w ciasnej dłoni
 Za pieniądze kup sobie, darmo, niech Bóg broni.
 Wtedy biedny Poleszuk, dziś przyzwyczajony
 Dla spieczenia kawała słoniny wędzonej
 Zrąbać sosnę masztową, oj będzie niemało
 Musiał potem się zalać, by ogrzać swe ciało,
 Bo mu jednej gałązki niemiecka czereda,
 Choćby umierał z chłodu, bez opłaty nie da!
 Oj te puszcze, te lasy, te wielkie obszary
 Obfite w ptactwo, zwierza, wprawdzie i w komary,
 Które nie są zabawne, — jakże mnie was szkoda,
 Kiedy wasza dziś dzika, lecz piękna przyroda
 Ręką cywilizacyi tak się przeistoczy,
 Że ani nasze serce, ani nasze oczy
 Nie znajdą ani śladu tych rzadkich piękności,
 Które były rozkoszą dni naszej młodości!
 Patrz, w tem miejscu gdzie był sławny tok
 [głuszcowy,
 Jakie ogrody, pola, i dwór jaki nowy,
 Malowany i piękny, ogrodzony szczelnie,
 A w nim Niemców rodzina tyje najbezczerniej;
 Z tego mchu, gdzie to kiedyś z pod wyżlicy suki
 Biłem po sto sztuk naraz młode ciecieruki,
 Holender zrobił łąkę, zieloną aż miło,
 A biednych ciecieruków jak nigdy nie było;
 W tym ostępie, gdzie dziki trzymały się wiecznie,
 Czterdziestu kolonistów Niemców, najbezpieczniej
 Pociąwszy piękny ostęp w drobne kawałeczki,
 Żyją sobie jak wieprze wygodnie, bez sprzeczeki,

I jedząc wasserzupę na główną potrawę,
 Z żołądki co dzik zbierał, piją teraz kawę!
 Tę puszczyć, w której nieraz niedźwiedź łohwę robił,
 Patrz jak przemysł odmienił, ozdobił, przerobił,
 I w miejscu, gdzie marucha rzucał się pod psami,
 Aż legł ugodzon kilku trafnymi strzałami,
 Gdzie trąby nasze grały, pito pogrzebowe,
 Dziś Francuz pozakładał fabryki cukrowe,
 I na błocie, gdzie kiedyś były wiuny, raki,
 Stoi komin parowy — i rodzą buraki!
 Niedźwiedzia ani słychni, ależ za to panie
 Samolubstwo Francuza za niedźwiedzia stanie,
 Bo prędzej by cię niedźwiedź w łohwie przyjął

[wdzięcznie

Niżli spekulant Francuz, lecz za to ci zrzęcznie
 Naplecie i nagada dziwów, gdy oceni
 Zwłaszcza, że ci coś wyrwać może z twej kieszeni.
 A na teje grobelce, gdzieśmy bili słomki,
 Patrz, dziś jakieś szwajcarskie, nieszwajcarskie domki,
 I tam gdzie człowiek z biedą po brodach i pniakach
 Przez mostek rozwalony i po okrągłakach
 Godzinę wiorstę jechał, i złamał oś nową,
 Widzisz lecącą z świstem machiną parową,
 A za nią szereg długi wagonów z Niemcami,
 Towarem rozmaitym, oraz Francuzkami,
 Które jadą, bo wiedzą, że w tym kraju płacą
 Nietylko za sam rozum, lecz Bóg wie nie zaco.
 Szkoda mi cię grobelko! nieraz ja w wiosniany
 Piękny wieczór majowy stojąc zadumany
 Na tobie, zanim pierwsza słomka zachrapała
 Lubiłem słuchać głosu, którym nasza cała
 Piękna, dzika przyroda, tem piękniejsza może,
 Wielbiąc Twą wielką dobroć, chwaliła Cię Boże
 Tą modlitwą najszczerzą, czystą, nieudaną
 Bo z szczęścia pochodząca — nawet niemyślana;
 Te słowiki gdzieś w gąszczu, te na mchu żórawie,
 Ten ksyk gdzieś ponad lasem, chruściel w gęstej

[trawie,

Te chrząszcze i te żuki, wszystko to Ci w śpiewie
 Boże mój, wdzięczność głosi, choć o tem i nie wie!

6*

Jeden człowiek tę dobroć ocenić Twa może
 A jakże Ci dziękuje rzadko Wielki Boże!
 Bo zajęty sam sobą nawet zapomina
 Obowiązków wdzięczności, ciężących na syna
 Tejże wielkiej przyrody — i w głupiej swej dumie
 W głupim zarozumieniu, przy nędznym rozumie
 Wyrobiwszy teorią ciasną i dziecinną
 Dowodzi, że to tak^o jest — bo tak być powinno;
 I pochlebając własnej dumie oraz złości,
 Nawet dla Boga nie chce mieć uczuć wdzięczności!
 A czegoż to jest skutkiem? także tej oświaty,
 Której kraj nasz choć biedny — lecz sercem bogaty
 Nie miał jeszcze do tyła, by dla swej wygody
 Zaparł się Boga, bliźnich i wielkiej przyrody,
 Przyrody! którą codzień w wszystkich kątkach świata
 Zabija i zaciera postęp i oświata!
 Używajmyż jej darów, wdzięków i hojności,
 Póki je jeszcze mamy, pókiśmy w możności
 Patrząc na nią jak dzisiaj — i módlmy się rzewnie,
 Jak się modli natura cała nasza śpiewnie
 Dziękując Najwyższemu za tak wielkie dary.
 Bo jak zniknie nam kiedyś ten świat z oczu stary,
 Jak rozmnoży się ludność i napcha się wszędzie,
 Będzie massa ludności, ale serc mniej będzie!
 I w tym napływie ludzi, wyobrażeń nowych,
 My sami zapomnimy o starych a zdrowych,
 Zasadach — a wyszedłszy z dobrego nałogu,
 Gotowiśmy zapomnieć o wdzięczności Bogu!
 Lecz jeszcze to daleko, i jeszcze w tym stanie
 Póki my, Bóg pozwoli, że wszystko zostanie
 I daj to panie Boże! bo wołę głos krzyka
 Bęczącego nad błotem, jak goddam Anglika,
 Wołę wrzaski żurawia co jagody zbiera,
 Jak paplot francuskiego komiwojażera,
 Wołę bełkot cietrzewia, jak szwargot niemiecki,
 Milszy mi talent głuszca, jak tenor wenecki.
 A pewnie o parcjalność nikt mnie nie obwini,
 Gdy powiem, że przekładam rochot dzikiej świni
 Nad głos pełen «piszności» podróżującego
 Mit grousse fanaberie żyda warszawskiego,

Gdy z niechcenia oświadcza, że «z wizytem» jedzie
Do księcia, co u niego «biwa» na obiedzie.
A jednak to tak będzie kiedyś, i to tylko
Dobrze, że ani teraz, ani za lat kilka
Ledwie za kilkanaście, a nim to nastanie,
Już nas wtedy nie będzie — nieprawdaż Mosanie?»

Deniskowicze 15 kwietnia 1856 r.

PANIENKI.

Śliczna to rzecz te panienki,
Takie wdzięczne, takie miłe,
Mają powab, mają wdzięki
Nie zbyt chude, nie otyłe.
Wszystko w porę, wszystko w miarę,
Zacne, skromne, czułe, tkliwe,
Nie zbyt młode, nie za stare,
Chcesz, są ciche, chcesz są żywe.

Słowem, takie to stworzenia
Że trzeba być chyba głazem,
By nie ginać z zachwycenia
I nie kochać dziesięć razem;
Próżno mówią, żeśmy trzpioty
(Trudno naturę przemienić),
Ale jak nie mieć ochoty
Z sześciu na raz się ożenić.

I niejeden by to zrobił,
Lecz naprzód. za to wieszają,
A potem, nad tem porobił
Uwagi, które zmiękczają
Ten jego zapal szalenie,
A głównie ma to na względzie:
Dobrze, lecz jak się ożenię,
Żona już panną nie będzie.

Panna, to jest tą istotą,
Co żyje ambrozją świata,

Karmi się uczuciem, cnotą,
 Nie chodzi, po niebie lata;
 Ssie rosę z kwiatów kielicha,
 Subtelną mgłą się okrywa,
 Smutna — jak anioły wzdycha
 Wesoła — jak ptaszek śpiewa.

Żona inaczej niestety!
 Jej ambrozyą wołowina,
 Rostbef, befsztek lub kotlety
 A rosa, butelka wina;
 Lata, lecz po ziemi koczem,
 A do tego czwórka koni,
 A jej wdzięków, mgły przezroczem
 Dwustu łokci nie osłoni!

Smutna — to ci łeb świdruje,
 Wesoła — dalejże skakać,
 Za granicę chętkę czuje,
 A nie zechcesz — zaczniesz płakać;
 Ofukniesz się — to cię złaje,
 Nazwiesz to głupstwem, warjacja,
 Wtedy już spazmów dostaje
 I to jest ultima ratio...

Nikt kobiety nie przekona
 W tym stanie pełnym słodczy,
 Choćbyś sprowadził Newtona
 I z Newtonem nie wyliczy
 Że kupić, lub zrobić czego
 Nie można. — Masz rubli trzysta?
 — Nie mam. . — No to cóż wielkiego?
 Daj mi tymczasem czterysta...

I ty sam o własnej sile
 I z Newtonem, mógłbyś zgłupieć
 Nimbyś dowiódł, że za tyle,
 Czegoś tam nie można kupić;
 Bo na wszystko jest gotowa
 Racja, co wszystko przecina,

Że tak robi marszałkowa,
I to ma pani hrabina.

Marzyłeś biedny człowieku,
O cichem szczęściu domowym...
A żyjesz wśród plotek steku
I codziennie w warchole nowym!
Diabeł ci się w życie wcielił,
Patrzysz okiem pełnym grozy,
Na dom, co ci się podzielił
Na dwa przeciwne obozy;

Garderobna faworyta,
Osoba zasad tak stałych,
Klucznica, zacna kobieta,
Psują ci krew po dniach całych.
Wypchnąłeś za drzwi klucznicę,
I stałych zasad osobę,
Masz na trzy dni we łzach lice,
I spazmów na całą dobę.

I tam dalej — i tam dalej
A to wszystko idzie z tego,
Że ją głupio wychowali
W domu papy rodzonego;
Ten siał hreczkę safandula,
Mama gęś jakich dość widać,
Tę tylko potrzebę czuła,
By córunię za mąż wydać.

Z pomocą więc kilku ciotek
Z głupoty powszechnie znanych,
W gwarze parafialnych plotek,
I z teoryj niesłychanych,
Dowiaduje się panienska,
Że kobieta jest aniołem,
Przed którym świat cały klęka
Uderzając w prochu czołem.

I odbiera wychowanie,
Jak je wszystkie odbierają,

Śpiewa, gra na fortepianie
 Kiepsko, tak jak wszystkie grają,
 Wie, że Paryż nad Sekwaną,
 Po francusku paplać może
 Tańczy es, ce, byle grano,
 Rachuje!.. pożal się Boże!

Mama wielka gospodyni,
 Co to liczy każde jaje,
 Ale na karm jednej świni
 Sześć beczek zboża wydaje;
 Wyuczyła się smażenia
 Dwustu gatunków konfitur
 I w istocie, podziwienia
 Wart jej tortowy garnitur.

Na tem koniec, wprawdzie może
 Ona i więcej by chciała
 Nauczyć, ależ mój Boże,
 Kiedy sama nie umiała.
 A miała to przekonanie,
 Niczem w świecie niezwalczone,
 Że przez takie wychowanie
 Cudo wyda, nie zaś żonę.

To też się za cudo miała,
 A dzieląc mamuni wiarę,
 Wychodząc za mąż mniemała,
 Że robi z siebie .. ofiarę!
 Wynalazek to jest nowy,
 I to arcy głupie zdanie,
 Jak bukiet fajerwerkowy
 Kończy panien wychowanie.

Z tem, z wyprawą, z duszą rzewną
 Krasą młodości na licu,
 I z posagiem, który pewno
 Znajdziesz kiedyś na księżycu,
 Ze skrofułami w dodatku
 Szczęsny człeku chwytasz żonę

I masz w zysku naostatku
Życie powyżej skreślone.

Z dodatkiem jeszcze śmieszności,
I od samego początku
Scen romansowej zazdrości,
Wśród śmiecia i nieporządku.
Bo choć panienki najchętniej,
Stroją się, mizdrzą, i czubią,
I piękno lubią namiętnie,
Lecz pyłu ścierać nie lubią.

I odznaczają się miernie,
Mimo ukształcenie mądre,
Porządkiem — z czego niezmiernie
Przypominają nam flondrę —
Będą miały zalet wiele
Nawet i talentów trochę,
Lecz rzadko, oprócz w niedzielę,
Czystą na nogach pończochę.

Znajdzie zatem mąż w niej mnóstwo
Zalet różnego gatunku,
Ale rzadko ochędóstwo,
Nigdy żadnego rachunku
Praktyki nadzwyczaj mało,
Logiki nie wiele więcej,
A kaprysów furę całą,
I pretensyj sto tysięcy.

To, z domowej edukacji,
Lecz weź pannę wychowaną
W instytucie, tyśiąc racyi
Znajdziesz codzien, w wieczór, rano,
Kłąć minutę, w której dzika
Myśl ci przyszła szukać żony,
Bo to będzie dobrodzika,
Chryste Jezu umęczony!

Tamta wie choć, że śmietana
Z mleka krowiego pochodzi,

Wie że słońce wschodzi z rana
 A popołudniu zachodzi,
 Wie, że żyto rośnie w polu
 I że chleb się robi z żyta
 Pozna ziarno od kąkolu
 A nie pozna, to się spyta.

Ta nic zgoła — lecz zna za to
 Wszystkie małżeństwa tajniki,
 Pragnie wyjść za mąż bogato,
 Miesza się do polityki,
 Wie już kto z kim romansuje
 Zna intryg miejskich zasady,
 I powołanie już czuje
 Pójść w znajome sobie ślady.

Taka jejmość, nie dość że cię
 Zagryzie, zmęczy, zadręczy,
 Że ci struje życie w świecie,
 Jeszcze cię w rogi uwieńczy;
 Takich proszę najgoręcej
 Na sąsiadki, w każdej porze,
 Na sąsiadki, co najwięcej,
 Lecz na żony — chowaj Boże!

Czy przyjdzie kiedy do głowy
 Tym co raczą nami władać,
 System jeden myślą zdrowy
 Pensyony na wsi zakładać.
 Gdzieby się panny kształciły
 W przyszłych zatrudnień praktyce
 I nie zawsze wychodziły
 Na same gęsi, lub lwice.

Gdyby obok francuzkiego,
 Któremu nie przeczę wcale,
 Było coś i praktycznego,
 Coś o krowach, o nabiale,
 O bieliźnie, o okryciu,
 I o kuchni choćby mało,

Coby w przyszłym panny życiu
Nadzwyczajnie się przydało!..

To wszystko z rachunkowością
Potrzebną nader do tego,
Bez czego z całą mądrością
Panny będą, do niczego.
Myśl to jasna, prosta, czysta,
Niezbita trudnością żadną,
Rzecz więc nader oczywista,
Że na nią nigdy nie wpadną.

DZIONEK OBYWATELSKI,

(Epizod z życia starego celibatera.)

Pietrek! która godzina?

— Po jedenastej Panie,

Nakrajana wędlina

Zastawione śniadanie —

— Co na dworze dziś rano?

— Deszczyk pada niewielki...

— Przepadło moje siano! } bis

Dobądź z szafki butelki. }

Pietrek! która godzina?

— Blizko pierwsza już panie...

— Jeść mi się chcieć zaczyna

Dalipan niesłychanie...

Co na dworze? — Pogoda,

Deszczu ani kropelki...

— Nie ma deszczu? to szkoda. } bis

Daj mi z tamtej butelki. }

Pietrek! która godzina?

-- Druga... Waza na stole

Dobry rosółek z lina...

— A cóż tam po rosole?

— Tylko pieczeń wołowa,

— Hm, hm, obiadek krótki.

Jakoś boli mię głowa, } bis

Trzeba napić się wódki. }

Pietrek! która godzina?

— Po piątej dawno Panie

Z panem sędzią, sędzina
 Jada, niechaj pan wstanie!
 — Jada? biegnij, prosz siedzieć.
 Ach! kochany Franciszek,
 Przyjechał mnie odwiedzić... } bis
 Daj mi wódki kieliszek.

Pietrek! która godzina?
 — Dziewiąta zaraz Panie...
 — Niedomaga sędzina
 Nocować tu zostanie;
 A jaka tam kolacya?
 — Będzie potrawa z główki...
 — Panie sędzio jest racya, } bis
 Wypić cynamonówki.

Pietrek! która godzina?
 — Po północy już Panie...
 — Czy śpi pani sędzina?
 — At śpi dawno Mospanie.
 — I nam spocząć już pora,
 Ale panie Franciszku
 Canonica to hora, } bis
 Jeszcze choć po kieliszku!

Pietrek! która godzina?
 — Pierwsza... czyż pan nie widzi
 — A śpi pani sędzina?
 — Śpi, i pan niech spać idzie...
 — Idę, trafię bez kija,
 Ale tak do poduszki...
 Pietrek... Ave Maria!
 Daj kieliszek staruszki!
 Gratias plena Maria!
 Wytnę raz do poduszki.

Wspomnienia tkliwój wdowy o nieboszczyku.

Oj! kochany mój sędziulku. znałeś mego Jana,
Co! to był za człowiek rzadki, i dusza kochana,
Przez dwadzieścia lat pożycia, jednej przykrej chwili,
— Znałem, znałem, i widziałem: . (ns) ciągle się kłó-
[cili —

Znałeś go!.. jaki gospodarz, jaki to rozsądek
A w domu i interesach, ach! jakiż porządek
Jak Salomon nieraz sprawy najtrudniejsze sędził...
— Oj wiem pani Dobrodziejko... (ns.) że żyd
[wszystkiem rządził...

A urzędnik jaki z niego, prawda? wyborowy,
Co to w nim za poświęcenie, uczynność, sąd zdrowy,
To też każdy uciśniony rady jego wzywał...
— Święta prawda... (ns.) nie czytając wszystko pod-
[pisywał.

A moralność jakaż piękna, i rzetelność jaka!
Ręka zawsze w pogotowiu na pomoc biedaka.
A w pieniężnych interesach jakaż czystość święta...
— Prawda... (ns) wszystkim kredytorom pokrę-
[cił procenta...

Nałogu choć na lekarstwo... Nieboszczyk kochanek
Jak ognia tak się wystrzegął zabaw i hulank,
Czasem w wielkie jakie święto, kieliszek staruszki...
— Tak, tak... (ns.) ale tylko codzień gul, gul, do
[poduszki...

A jaka to w nim nauka, i ogłada w świecie
Przez trzy lata słuchał kursów w Uniwersytecie,
To też o czym tylko chciałeś, mogłeś z nim pogadać...
— Wiem, wiem, (ns.) dwie kopy kołdunów na obiad
[mógł zjadać.

A dla mnie jakiż opiekun, i małżonek z niego
Zda się nie pożałowałby i mleka ptasiego
O! bo też i dla niego dziwnie byłam słaba..
— Świadkiem jestem... (ns.) zawsze mówił: oto Heród
[baba!

A i ojcem był najlepszym: syn nasz pan Franciszek
Dziś dziedzicem jest Kiełbasicz — Jędrus Kapuciszek,
Wszystkich dokoła obdzielił, choć sam nie używał...
Tak, tak — (ns.) ale za to wszystkich zięciów po-
[okpiwał.

Oddany całkiem domowi, jak wół pracowity,
Nie dla niego wymyślili karty i kobiety.
Gdyby grzechu śmiertelnego bał się czasu straty...
Prawda!.. (ns.) sypiał od obiadu do samej herbaty...

Praca też go i dobiła... pracował nad siły
Nadwyrężył tem swe zdrowie, nieboszczyk mój miły.
Umarł wtedy gdy się cieszyć swą pracą sposobił..
— Tak jest, umarł!.. (ns.) i to jedno dobre w życiu
[zrobił...

Każden wiek ma piękność swoją.

Patrz na dziecie to ładniutkie,
Niemowlę na matki rękę,
Na te rączęta pulchniutkie
Całe w dołkach pełnych wdzięku,
Na te oczy, w których życie
Tak przyświeca jasno, miło,
I uśmiezek, który dziecię
Zda się z nieba zachwyciło.

A wnet pojmiesz zwrotkę moją:

Każden wiek ma piękność swoją.

Patrz na tych dzieciaków grono,
Co się bawi tak wesoło
Depcząc tę łączkę zieloną.
Usłaną kwieciami wokoło;
U każdego śmiech na twarzy,
W ustach, w oczach i w okrzyku
Zdobycz tam dla stu malarzy
Na tym niewielkim trawniku.

I zanucisz zwrotkę moją:

Każden wiek ma piękność swoją!

Widzisz to rodzeństwa dwoje:
Od nauki w chwile wolne,
Jasiek opowiada swoje
Siostrze prace, figle szkolne;
Zochna śmieje się tak szczerze
A o takie bzdurstwa pyta,
Że śmiech pusty człeka bierze,
Że cię coś za serce chwyta,

I powtarzasz zwrotkę moją:

Każden wiek ma piękność swoją.

Spojrzyj, teraz zakochani
 Ona w Stachu, on w Antosi,
 Staś napisał wierszyk dla niej,
 On Antosię wierszem głosi.
 Wierszyki Stasia i jego
 Nic nie warte, lecz oboje
 Tak są pełni szczęścia tego,
 Tak szczęśliwych widzisz dwoje,
 Ze znów śpiewasz zwrotkę moją:
 Każden wiek ma piękność swoją!

Potem widzę ją mężatką
 A i jego już żonatym,
 On tatusiem, ona matką,
 Miłość życiem ich i światem,
 Jaś z Antosią, Zosia z Stachem
 Młodzi, piękni i weseli,
 Pod gościnnym ojców dachem
 Zbierają się co niedzieli
 Czynem śpiewać zwrotkę moją:
 Każden wiek ma piękność swoją!

Dalej widzimy ich znów razem:
 Gdyby dąb kaźden mężczyzna,
 Ale w czuprynach zarazem
 Znacznie prześwieca siwizna;
 Imościulki (jeśli zgadnę)
 Liczą dobrze za trzydzieści,
 Ale hoże, nie przesadne
 Mają cały wdzięk niewieści;
 Sercem nucą zwrotkę moją:
 Każden wiek ma piękność swoją!

Lecz coż widzę? z dwóch par jedna
 Wspólne losy tylko dzieli,
 Wdowiec smutny, wdowa biedna
 Z ruin domu ocaleli;
 Brat i siostra znowu razem,
 Ubieleni wieku szronem,
 Żyją przeszłości obrazem
 W domostwie osieroconem;

Jednak powtórz zwrotkę moją:
 Każden wiek ma piękność swoją!

Bo jaka to jasność czoła
Tych staruszków, i pogoda,
Jaki spokój, a dokoła
Jaka zacność, jaka zgoda,
Zgoda z wolą wyższą Boga
I z prawami konieczności,
Jaka pewność w obu błoga
Lepszej za grobem przyszłości,
 Że powtórzysz zwrotkę moją:
 Każden wiek ma piękność swoją!



CO TU ROBIĆ.

Co tu robić? co tu robić? trzech mię chłopców kocha,
Każden równie przyzwoity, jak miły z pozoru,
A chociaż nie jestem wcale głupia ani płocha,
Nie umiem pomiędzy nimi raz zrobić wyboru;
Serce moje wśród ciągłego tam i tam wahania
Na trzy strony, sama widzę, zarówno się skłania.

I zwykle nie kocham wcale Augusta i Jasia,
Kiedy patrzę na wąsiki i bródkę Ignasia.

Co tu robić? — bo w ślad za tem powiem co się dzieje:
Jaś głosem swoim najczulszym, i jasnym spojrzeniem
Mówi mi serca swojego troski i nadzieje;
Słuchając każde słóweczko ust mych z upojeniem;
Wyraz twarzy, zwłaszcza oczy, tak ma wtedy śliczne
A to wszystko co mi mówi tak jest poetyczne.

Że nie mogę wcale kochać Gučia i Ignasia,

Kiedy słucham miłej mowy poczciwego Jasia

Co tu robić? — jużem panią mojego uczucia,
Jego kocham, zapominam że są inni w świecie,
Póki licho nie przyniesie bogatego Gučia
Na ślicznym angielskim koniu, lub w kabryolecie.
Bo ten prawi mi, pokusa, po całych godzinach
O pałacach, diamentach, perłach i rubinach

A więc mogęż jeszcze kochać — ja, dziewczyna

Czy Ignasia — czy też Jasia — gdy słucham
[pusta
[Augusta?

ŁĄCZNIK.

Mogą być ludzie na ziemi,
Których łączy przyjaźń stała,
Nie wchodzę w to, Bóg tam z niemi
Proporcya ich pewnie mała,
Lecz ogółu tych dwunogów,
Opatrzonych złym językiem,
Z łaski niełaskawych Bogów
Interes zawsze łącznikiem.

Na początku świata tego
(Co obchodził się bezemnie),
Jeden mówił do drugiego:
Bronić się będziem wzajemnie,
Na słabszego zaś napadać
Z wielkim hałasem i krzykiem,
A co zyszczem wspólnie zjadać,
I to było ich łącznikiem.

Pod wpływem takiej zasady
Wspólnej obrony i zgody,
Porobiły się osady,
Potem miasta i narody,
I okpiwać się zaczęto,
A smutnym tego wynikiem,
Że uważan za rzecz świętą
Fałsz został ludzi łącznikiem...

To też widzisz rzeczy sprzeczne,
Niczem niewytłómaczone,

To małżeństwa niedorzeczne,
 To przyjaźnie źle sklejone,
 Dziwna jakaś mieszanina
 Jak ciepłej zupy z chłodnikiem,
 A zawsze temu przyczyna
 Jakiś interes łącznikiem.

Poszli się łączyć na siebie,
 Dowodzą nam tego dzieje,
 W zaszłej niekiedy potrzebie
 Z najuczciwszymi złodzieje:
 Widziano Niemca z Polakiem,
 Nawet Francuza z Anglikiem,
 Co już wyraźnym jest znakiem,
 Że zysk jest ludzi łącznikiem.

Patrz ta kokotka paryzka,
 To szczęście pana hrabiego,
 Zawsze przy nim, zawsze zblizka,
 Zakochana w bródce jego.
 Od lat trzech po nasze czasy
 Stosuneków nie ma z nikim:
 Hotel w Neuilly albo Passy
 Jest tej czułości łącznikiem.

Z brudnym żydem tego pana
 Jakiż stopień zażyłości?
 Czemuż u tego kapcana
 Po dniach całych prawie gości? —
 Rzecz jest jasna: żyd bogaty,
 Pan ostatnim rozrzutnikiem,
 Więc oberznięte dukaty
 Są ich przyjaźni łącznikiem.

Chcąc dociec związku ścisłego,
 Który nie rzadko się zdarza,
 Z głupim człeka rozumnego,
 Albo z wesołym nudziarza,
 Dojdiesz zawsze: jakiś nosek
 Nóżka z zgrabniutkim bucikiem,

Ładne oczy, dzwięczny głos
Jest tej przyjaźni łącznikiem.

Związek biednego z bogatym,
Ta ich częsta przyjaźń tkliwa
Zawsze zasadza się na tem:
Jeden drugiego okpiwa.
Bogaty golca się boi,
Sam bowiem jest nikczemnikiem,
Golec bogatego doi,
I to całym ich łącznikiem.

Jednym lub więcej tysiącem
Biorę się połączyć z sobą
Osła z człowiekiem myślącym,
Trzpiota z poważną osobą,
Dwóch synowców z głuchą ciotką,
Lutra z księdzem kanonikiem,
A nawet djabła z dewotką,
Bo pieniądz wszystkich łącznikiem.

Dwa sposoby i dwie miary.

Masz do wyboru me dziecię,
Mówił mi raz mędrzec stary,
Dwa sposoby życia w świecie,
Dwa sposoby i dwie miary,
 A sprawdzisz prawdę głęboką
 Przystępną każdemu oku:
 Bądź płaskim, sięgniesz wysoko, } bis
 Miej dumę, nie dasz i kroku. }

Podłością i zaprzeczeniem
Siebie, i własnej swej duszy,
Rozbratem z czią i sumieniem
A zależnością po uszy,
 Postępowaniem na oko
 Prawem, lecz płaskiem w istocie,
 Wzniesiesz się zawsze wysoko, — } bis
 Kroku nie zrobisz przy cnocie. }

Wolności swej zaprzędaniem,
I wszystkich chwil życia twego,
Nizkiem po ziemi czołganiem
Dopełniesz zawsze wszystkiego;
 Będziesz miał władzę szeroką
 Słowa twe będą wyrokiem,
 I staniesz jak chcesz wysoko, — } bis
 Inaczej, nie ruszysz krokiem. }

Lecz za to, mieć będziesz w zysku
Jasną sumienia pogodę,

I przy kłopotów nacisku
 Myśli i ducha swobodę;
 Oszczędzisz sobie niemało
 Głupstwa, i głupich widoku,
 I spojrzysz wokoło śmiało,
 Choć naprzód nie dasz i kroku. } bis

Nie będziesz z ludźmi wielkimi
 Życ, ani z wielkością żadną,
 Ale pożyjesz z takimi,
 Co ci do serca przypadną;
 Niezłudzon wdziękiem pozoru
 W ogromnym ludzi natłoku,
 Będiesz miał prawo wyboru, } bis
 Choć dalej nie zrobisz kroku.

Będiesz miał prawo mieć zdanie,
 I wolę mieć nieugiętą,
 Złemu powiedzieć: mój Panie,
 Drzwi moje są dlań zamknięte;
 Nigdy podłości, i zdrady
 Nie ścierpisz przy swoim boku, —
 Lecz takie mając zasady } bis
 Dalej nie zrobisz i kroku.

Rozrządzać będziesz twym czasem
 Jak swą własnością, gdy drudzy
 Żyjący blaskiem, hałasem,
 Ambicyi, lub głupstwa słudzy,
 Nawet ten czas zapredali,
 I kiedy ty śpisz na boku,
 Oni o piątej już wstali. } bis
 Lecz dalej nie zrobisz kroku.

Życ będziesz wolen obawy
 I nie ścisz myśli zgryzotą
 Choć zjesz dwie tylko potrawy,
 Albo się przejdiesz piechotą;

Ich życie, całe w wystawie,
 Patrz jak wyłazi im bokiem, —
 Zdrow będziesz o lichej strawie {
 Choć dalej nie ruszy krokiem. { bis

Z dwóch dróg przez starca wskazanych
 Wybrałem jedną, łatwiejszą,
 A choć z wypadków doznanych
 Piersz czuję nieco chłodniejszą,
 Hołd mu mej niosę wdzięczności
 Bom też dla bogactw widoku,
 Lub jakiegokolwiek wyższości, {
 Nie dał w mem życiu i kroku. { bis

MAŁPY I LUDZIE.

[Napróżno Darwin dowodzi,
Że człek od małpy pochodzi,
A co więcej, że jest pono,
Małpą udoskonaloną.
Według mnie podobne zdanie
Krzywdzi małpy niesłychanie,
Bo z dwóch tych głupstw biorąc mniejsze } bis
Małpy pewno rozumniejsze.]

Czy widział kto małpę kiedy,
Biorącą wśród swej czeredy
Z racyi dłuższego ogona,
Tytuł: Jaśnie Oświecona.
Ma sama to przeświadczenie,
Że nie tam jest oświecenie.
Z dwojga głupich biorąc mniejsze } bis
Małpy zawsze roztropniejsze.

Albo jestże małpa, proszę,
W takim stanie zbydlęcienia,
By widzieć życia rozkosze
W opiciu się bez pragnienia?
Wina, wódki, rumu, piwa,
Wiemy, że nie nadużywa;
Z dwojga głupich, biorąc mniejsze } bis
Czyż i w tem nie rozumniejsze?

Weźmy je z innego względu:
Kto widział sześć godzin z rzędu,

Cztery małpy za stolikiem,
 Ziewające nad bezikiem;
 Nawet patrzą z ukosa
 Kiedy ludzie grają w sztosą...
 Z dwojga tych głupstw, biorąc mniejsze, } bis
 Małpy i w tem rozumniejsze.

Tańczą chętnie, lecz do tańca
 Biorą byle oberwańca,
 I dotąd u nich nieznanem,
 Być w tańcu prezentowanym;
 Żadna niema w sercu troski,
 By mieć suknię od Włodkowskiej...
 Z dwojga głupich, biorąc mniejsze } bis
 Małpy zawsze rozumniejsze.

Zadowolone swym stanem...
 Widział którą szambelanem,
 Nawet wątpię czyli kiedy,
 Kamerjunkrem chce być z biedy?
 Bo dla wielu tak pochlebny,
 Klucz jej z tyłu nie potrzebny;
 Z dwóch głupstw wielkich biorąc mniejsze; } bis
 Małpy zawsze rozumniejsze.

Nie widziałem dotąd żadnej,
 Któraby dla małpy ładnej
 Kupowała naszyjniki,
 Lub brylantowe kolczyki;
 Mówi bowiem: moja żona,
 Takaż małpa jak i ona.
 Z dwojga głupich biorąc mniejsze } bis
 Zawsze małpy rozumniejsze.

Nie znam małpy eleganta,
 Nawet nie znam spekulanta;
 Małpa w swoim zdaniu szczerem
 Lituje się nad bankierem,
 Mówiąc: wolę jabłko zdrowe,
 Jak największe komissowe;

Z dwojga głupich biorąc mniejsze { bis
Małpy pewno rozumniejsze

Widok najmądrzejszych ludzi
Śmiech najczęściej w małpie budzi,
Wie bowiem, że człek uczony,
Zawsze głupszym jest od żony,
Która nauki olbrzyma,
Pod pantoflem swoim trzyma.
Z dwóch więc głupich biorąc mniejsze { bis
Małpy pewno rozumniejsze.

Najwięcej śmieją się z tego,
Co zwą miłością bliźniego,
Kłamstwo, które biorąc ściślej,
Żadna małpa nie wymyśli.
To też jedynie w obłudzie,
Wyżej małpy stoją ludzie;
Z dwóch głupstw wielkich biorąc mniejsze, { bis
Małpy nawet sumienniejsze.

O modach wciąż nie gadają,
Po swojemu rozmawiają:
Źle każda małpa spoziera
Na francuza guwenera;
I największe u nich panie,
W domu biorą wychowanie.
Z dwóch głupstw wielkich biorąc mniejsze, { bis
Czyż w tem małpy nie mądrzejsze?

Znał kto małpę zadłużoną,
Lub potrzebami ścieśnioną,
Aż do tyła, żeby żyda
W łapy cmokać kiedy bięda;
Na los żadna nie narzeka,
Czysta każdej hipoteka...
Z dwojga głupich biorąc mniejsze, { bis
Małpy zawsze rozumniejsze.

Kraj, w którym się urodziły;
Lubią z całej swojej siły,

I małpa w największej biedzie,
 Do Paryża nie pojedzie;
 Woli swoją okolicę,
 Jak te wszystkie zagranice....
 Z dwóch głupstw wielkich biorąc mniejsze, } bis
 Czyż małpy nie rozumniejsze?

Każda małpa spokój ceni,
 Dla posagu się nie żeni,
 Nikomu baki nie świeci,
 Na małpy kieruje dzieci;
 Nie tak jak nasi szlachcice,
 Co z nich robią lwów i lwice.
 Słowem z dwóch głupstw biorąc mniejsze, } bis
 Małpy w wszystkim rozumniejsze.

Zgodnie w sprawach swoich radzą,
 Wojen nigdy nie prowadzą,
 Jednym w życiu jak świat światem
 Kierują się systematem;
 A że gazet nie czytają,
 Żadnych też stronnictw nie mają.
 Słowem z dwóch głupstw biorąc mniejsze, } bis
 Małpy w wszystkim rozumniejsze.

O zdanie ludzkie niedbałe,
 Przekonania mają stałe;
 Żadnej małpie ani w głowie,
 Co tam świat ten o niej powie;
 Potrzeb zbytecznych nie mają,
 Na dochodzie poprzestają,
 Słowem z dwóch głupstw biorąc mniejsze, } bis
 Małpy w wszystkim rozumniejsze.

Jestem przekonany prawie:
 Że Darwin, chcąc swej rozprawie,
 Nadać charakter uczony,
 Kupić małpę był zmuszony;
 Małpa, zwierz nie tyle głupi,
 Darwina pewnie nie kupi....
 Z dwóch więc tych głupstw biorąc mniejsze, } bis
 Małpy i w tem rozumniejsze.

MENAŻERYA.

Osobliwość nadzwyczajna, dotąd niewidziana,
Menażeryę mą stanowi publiczność zebrana.
Żadnych klatek jak widzicie panowie i panie,
A jednakże zwierząt różnych ciekawe zebranie!
Ot naprzykład: *lew* grzywiasty kosmopolityczny,
Patrzcie panie i panowie, przyznajcie że śliczny;
Był w Paryżu, był w Londynie, w Petersburgu znany,
Wszędzie z równem powodzeniem jak tu oglądany.
Patrzcie państwo jaka bródka, jakie kołnierzyki,
Jaki krawat, lorynetka i światłe buciki,
Ma kamerdynera Włocha na swoje usługi,
Codzień świeże rękawiczki, potrzeby i długi.
Osobliwość nadzwyczajna, dotąd nie widziana,
Menażeryę mą stanowi publiczność zebrana!

Obok niego widzim piękną jego połowicę,
W Paryżu edukowaną i poprawną *lwicę*.
Patrzcie jak ogonem kręci, jak powabnie chodzi,
Przez jej ręce ośmnasty *lew* teraz przechodzi.
Wszystkich zjadła, pozostały z nich skóra i kości,
W imię zawsze jak najtkliwszej bezinteresowności,
Zaś każdego który złoży serce jej w ofierze
Z ostatniego ręcę grosza w pół roku obierze.
Osobliwość nadzwyczajna, dotąd niewidziana,
Menażeryę mą stanowi publiczność zebrana.

Oto *puhacz* wróg zajadły światła i jasności,
I dwie *sory* zwolenniczki taksamo ciemności,
Prawda razi nieprzywykłe światła ich źrenice,
Lubią tylko mgły, ciemnoty, noc i tajemnice.

Toteż tylko w nocnej porze, i wśród nocnej ciszy,
 Napadają śpiące ptactwo, robactwo i myszy;
 Dumne strasznie tradycjami, że w starożytności,
 Nie wiem za co, godłem były najwyższej mądrości.
 Osobliwość nadzwyczajna, dotąd niewidziana,
 Menażeryę mą stanowi publiczność zebrana.

Oto *kura* literatka, filozofką zwie się,
 Co tylko w piasku wygrzebie, wiatr piaskiem zanieśie,
 W każdym wierszu u niej cnota, prawda i natura,
 A z całości zawsze widać, że pisała kura;
 O prawach kur w społeczeństwie mdłe bazgrząc ambaje,
 Lekkomysłność i egoizm wciąż kogutów łaje,
 I im więcej jest w księgarniach widna i popłatna,
 Tem mniej bywa w gospodarstwie do czegoś przydatna.
 Osobliwość nadzwyczajna, dotąd nie widziana,
 Menażeryę mą stanowi publiczność zebrana.

Tamten mały, zwinny, żwawy *lisiek* pospolity,
 Oszust, wichta i wyjadacz, a łotr znakomity,
 Choć się tak zręcznie uwija, i uśmiecha ładnie,
 Radzę pilnować kieszenie, bo pewno co skradnie;
 Równie chytry, jak ostrożny, tchórz przytem z natury,
 Silniejszym się podlizuje, ale dusi kury:
 Wcale nie źle wychowany, zwłaszcza jak na lisa,
 Bardzo dobrze jest widziany u mała i tygrysa.
 Osobliwość nadzwyczajna, dotąd niewidziana,
 Menażeryę mą stanowi publiczność zebrana.

To *tygrys* o którym mowa, jaki wzrok surowy,
 I powaga jaką winien mieć pan orderowy!
 Mało komu się pokłoni, mało z kim pogada,
 Codzien na obiad barana, albo ciele zjada;
 Zaufany w wielkiej sile i potężnej łapie,
 Kogo zagryść już nie może, przynajmniej podrapie,
 Ciągłe w miarę spustoszenia zmieniając siedlisko,
 Takich, którzy są silniejsi, nie lubi mieć blisko.
 Osobliwość nadzwyczajna, dotąd nie widziana,
 Menażeryę mą stanowi publiczność zebrana.

Patrzcie państwo, oto *hyena*, brzydkie bardzo zwierze,
 Choć się mizdrzy, choć się łąsi, uśmiecha nieszczerze,
 Żyje w brudzie, żyje brudem, i brudem się bawi,
 Na śmietniskach wpośród brudów życie całe trawi,
 Wszystko brudne i nieczyste staje się jej łupem,
 To ją tylko znęcić zdolne, co już cuchnie trupem,
 Ceniąc zatem, to co zgniłe, spleśniałe i szpetne,
 Nienawidzi wszystko zdrowe, piękne i szlachetne.
 Osobliwość nadzwyczajna, dotąd niewidziana,
 Menażeryę mą stanowi publiczność zebrana.

Oto panie i panowie *niedźwiadek* powabny,
 Tyle razem pewny siebie, o ile niezgrabny,
 Brutal, gbur nieokrzesany z wszystkimi się kłóci,
 Czego dotknie to zepsuje, złamie lub wywróci;
 Romansowy, prawie zawsze zakochany szczerze,
 Mimo pięknych swoich zalet wciąż rekuzy bierze;
 Lecz nie zrażon znów na nowe konkiety się sili,
 I że nader jest przyjemnym nie wątpi i chwili.
 Osobliwość nadzwyczajna, dotąd niewidziana,
 Menażeryę mą stanowi publiczność zebrana.

Oto *wąż* potomek tego, co w ułudnym śpiewie,
 Tak się ciężko Adamowi przysłużył i Ewie,
 Podobny do protoplasty formą i układem,
 Jak tamten jest niebezpieczny subtelnym swym jadem,
 Pełza cicho, a gdzie tylko prześliznąć się zdoła
 Wszędzie smutek, a przynajmniej niepokój wywoła,
 Obok niego też widzimy, podobne doń z miny,
 I układu potulnego, stare dwie gadziny.
 Osobliwość nadzwyczajna, dotąd niewidziana,
 Menażeryę mą stanowi publiczność zebrana.

Oto *bocian* moralista i badacz głęboki,
 A to *żółw*, który w swem życiu zrobił cztery kroki,
 Oba są ugruntowani w zasadach i cnotcie,
 Jeden ciągle czegoś szuka, drugi siedzi w błocie,
 Żaby też się ich lękają i od dawnych czasów
 Grają rolę pierwszorzędną wśród kaczek, bekasów,

Oraz gęsi, czaple bowiem, a nawet i czajki,
 Gdy mowa o ich rozumie, mają to za bajki.
 Osobliwość nadzwyczajna, dotąd niewidziana,
 Menażeryę mą stanowi publiczność zebrana.

Tu panowie jest *małp* różnych zbiór, nader ciekawy
 Dla uczonych obserwacyj, niemniej też zabawy,
 U wszystkich jest na języku obmowa lub plotka,
 A każda jest elegantka i ścisła dewotka,
 Praktykantki wszystkich siedmiu wzbronionych nam
 [grzechów,

Wolą je od jabłek, gruszek a nawet orzechów,
 A tem więcej mają w sercu goryczy i złości,
 Im się więcej odwołują do cnót i miłości.
 Osobliwość nadzwyczajna, dotąd niewidziana,
 Menażeryę mą stanowi publiczność zebrana.

Niemniej także jest kolekcya *papug* mych ciekawa,
 Bo to równie szczebiotliwa, jak pierzem jaskrawa,
 A że pierze równie zmienia jak o wszystkim zdanie,
 Ztąd dla wielu bardzo miłe jest jej szczebiotanie,
 Choć więc w tem jest mało sensu, a co najmniej treści,
 A często i trancuzczyzna od siedmiu boleści,
 Jednak dzięki reputacji, której tu używa,
 Na to ptactwo amatorów nigdy mi nie zbywa.
 Osobliwość nadzwyczajna, dotąd niewidziana,
 Menażeryę mą stanowi publiczność zebrana.

Dalej panie i panowie, macie tutaj *wilka*,
 Opiekuna małoletnich baranów, *świń* kilka,
 Członków rady familijnej, a tam w końcu sali,
 Widzicie przy swoich *łaniach*, jeleni rogali
 Całe stado; tam jest także panowie i panie,
 Kilkanaście sztuk *osiołków*, którym piękne łanie
 Rozwijając owych stworzeń przymioty rozliczne,
 Wykładają życia w świecie zasady praktyczne.
 Osobliwość nadzwyczajna, dotąd nie widziana,
 Menażeryę mą stanowi publiczność zebrana.

Te nareszcie co widzicie *sarneczki, danielki,*
 Różnolitych kształtów *kozy, gienzy i gazelki,*
 Są to wszystko, przy wykwiłtnem nader wychowaniu
 I pretensyach też niemałych, panny na wydaniu.
 Choć na towar, tak ponętny, bynajmniej nie lubię
 Siac potwarzy, powiem tylko, że zaraz po ślubie,
 Mimo cnoty i talentu, co je ślicznie zdołają,
 Z owych łagodnych stworzonek, drapieżne się robią.
 Osobliwość nadzwyczajna, dotąd niewidziana,
 Menażeryę mą stanowi publiczność zebrana.

Młody więc naturalisto, który w tamtą stronę
 Widzę zwracasz uporczywie oko twe oszklone,
 Chcesz, nauczę cię sposobu bez trudu wielkiego
 Dojścia prędko do Muzeum zoologicznego;
 Opatrzony w zapas grosza i umysłu władze,
 Bo rachować ci na posag bynajmniej nie radzę,
 Ożeń się, a w tejże chwili wywiedziesz na scenę,
 Małpę, flondrę, stado szpaków, niedźwiedzia i hyenę..
 Osobliwość nadzwyczajna, dotąd niewidziana,
 Menażeryę mą stanowi publiczność zebrana.



ZA DWA WIEKI.

«Wszystko jest zatem gotowo»
(Wyrzekł Chiński Imperator,
Wielki swych czasów orator
Kiwając poważnie głową.)

»Mamy wszystko co potrzeba,
«Żeby (przy pomocy nieba)
«Prędko, gładko i doraźnie
«Europie sprawić łaźnię»

«Tak jest, Mandaryni mili,
«Łatwe to dzisiaj zadanie,
«Kochani bowiem Chrześcianie
«Sami nam to ułatwili.

«Wezwałem więc was na radę
«A przyjmując za zasadę,
«Że siła idzie przed prawem,
«Dowieść chcę im to niebawem.

«Mandarynie zatem wojny,
«Powiedz, i pokaż najszczerzej,
«Cyframi i na papierze
«Twój Status activus zbrojny,
«Żebym pełniąc Bożą wolę
«Mógł przecież wystąpić w pole
«Śmiało, a Bismarka zdanie
«Miało swe zastosowanie ;

«O Wielki cieniu Bismarka!
«To twoje zdanie olbrzymie,
«Jak ty sam i twoje imię,
«Godne zaiste Plutarka.

«Przyznaj, żeś nie myślał o tem,
 «Że ktoś tak niedługo potem
 «W jakichś lat zaledwie trzysta
 «Rozumnie z niego skorzysta» —
 — «Synu słońca, gwiazd i Nieba,
 «Chciej przepatrzyć te wykazy,
 «Które mówią, że sto razy
 «Mamy więcej jak nam trzeba,
 «Żeby w moment upatrzony,
 «Rozterkami osłabionój
 «I głupszej od nas wyraźnie
 «Europie sprawić łaźnię;
 «Armat samych więcej mamy
 «A przy nich ludzi i koni,
 «Niżli oni ręcznej broni,
 «I w skórę im pewnie damy.
 «Gdyż według zdania Moltkiego
 «Zbierze się stu na jednego,
 «A tam gdzie taka przewaga
 «Sam Pan Bóg zawsze pomaga» —
 — «Dobrze! — teraz Mandarynie
 «Skarbu, ile gotowizny
 «Masz na usługi ojczyzny
 «W danej chwili i godzinie...?
 «Do wojny bowiem dukaty,
 «Potrzebniejsze jak armaty,
 «Według zdania Fryderyka
 «Sławnego ich rozbójnika» —
 — «Mam ich Cesarzu wspaniały
 «Grubo, oto są wykazy
 «Dowodzące, że sto razy
 «Mamy więcej jak świat cały.
 «Wszystkim więc ekonomistom
 «I najlepszym finansistom
 «Europy dowieść mozem,
 «Że zarznęli się swym nożem.
 «Bo choć wciąż na nas patrzali
 «Dosyć pogardliwym okiem,
 «Wylezie im przecież bokiem,
 «Opium, co nam przedawali;

- «Gdyż nam dowiedli co żywo,
 «Że opium rzeczą szkodliwą,
 «A ta ich miłość bliźniego
 «Gorsza od opium samego» —
 — «Brawo! teraz Mandarynie
 «Spraw tak zwanych zagranicznych,
 «Opisz nam bieg spraw publicznych
 «W tej Europie, co to słynie
 «Z swej wysokiej dyplomacyi
 «I powiedz, czy nie mam racyi,
 «Porównywając ich z nami
 «Nazywać ich Chińczykami? —
 — «Masz Monarcho, o masz panie
 «Racyą zawsze, większych bowiem
 «Osłów, że więcej nie powiem
 «Nikt wymyślić nie jest w stanie,
 «Od lat wielu jak ich śledzę,
 «Rozum, rozsądek i wiedzę,
 «Ich filozofię, ich dzieje
 «I polityki koleje —
 «Mogłem tylko to wybadać
 «Że w naturze niema całej,
 «Zwierząt, coby tak umiały
 «Zręcznie wzajemnie się zjadać.
 «Od czasu jak do nas wpadli
 «I pałac letni okradli,
 «W imię swej chrześcijańskiej cnoty
 «Ciągłe z sobą darli koty;
 «I aż po dzisiejsze czasy,
 «Szarpały się na przemiany
 «Wszystkie ludy, wszystkie stany
 «Wszystkie wyznania i klasy.
 «Stronnictw w każdym kraju trzysta,
 «Gdzie nie spojrzeć komunista,
 «Retrograd, lub demokrata,
 «Gdzie nie tknąć arystokrata.
 «Bawiac się coraz zabawniej
 «Skutkiem tej cnoty wyników,
 «Lutry zjedli katolików,
 «Lutrów jedzą prawosławni.

- «Gryzą się zjadle nawzajem,
 «Lud z ludem, kaźden kraj z krajem
 «Miasto z miastem, gmina z gminą,
 «Rodzina z kaźdą rodziną.
 «A że żyć się nie umieli
 «Rzecz więc nader oczywista,
 «Że przez lat ostatnich trzysta
 «Zjeść się z kretešem musieli.
 «I powiedzieć można śmiało
 «Tak już ich silnych jest mało,
 «Że dziś, Najjaśniejszy Panie,
 «Kto zechce to ich dostanie.
 «My zaś w naszej przezorności,
 «Przez lat dwieście jednej chwili
 «Marnieśmy tu nie stracili,
 «I jesteśmy w gotowości.
 «Przyjęliśmy ich naukę,
 «I tę wojny wielką sztukę,
 «I rzecz kaźdąśmy pojęli,
 «Tylko głupstwa brać nie chcieli.
 «I dziś mamy wojska liczne,
 «I linie telegraficzne,
 «I koleje i armaty,
 «I gwinee i dukaty.
 «Skarb we wszystko opatrzoney,
 «Kredyt nieograniczony,
 «U wszystkich świata bankierów,
 «I bargeld zamiast papierów;
 «Piechoty dobrej miliony,
 «Konnicę jak wicher szparką,
 «Niezliczoną marynarkę
 «I nadpowietrzne balony.
 «I co w tem jest komicznego,
 «Że nas wyuczyle tego
 «Oni sami, bo za złoto
 «Wszyscy służą nam z ochotą.
 «Służą nam Niemcy, Anglicy,
 »Francuzi, Włosi, Hiszpanie,
 «Służą za rubla Rosyianie
 «Holendrzy i Belgijczycy;

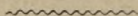
- «I służyć będą do końca.
 «Zatem, wielki Synu słońca,
 «Możesz być całkiem spokojny
 «O skutek następnej wojny:
 «Massami się na nich zwalim
 «Zalejem wszystko jak morze,
 «I po niedługim oporze,
 «Wszystko zmordujem i spalim.
 «Ludzi, których nie zabijem
 «Trzymać będziemy pod kijem
 «Lub przerobim na żebraków
 «Systemem»
 — «Głupiś, kanclerzu mój wielki,
 «Głupszyś od Europejczyka,
 «Niegodnyś nazwy Chińczyka,
 «Ani orderu pętelki,
 «Który nosisz. Wiedz mój luby
 «Że się mylisz w sposób gruby.
 «Takim odzywać się tonem
 «Może Hohenzolrn z Burbonem,
 «Nie zaś mądry Cesarz Chiński,
 «Co czytał, uczył się, gadał,
 «Co naturę ludzką zbadał
 «Jak asan język łaciński;
 «I wie, że pięścią, kułakiem,
 «Pałką, drągiem albo hakiem
 «Przez ogień, cęgi i kleszcze,
 «Nikt ludzi nie zjednał jeszcze;
 «Że chcąc rządzić całym światem
 «I dopełnić to praktycznie
 «Trzeba z ludźmi politycznie,
 «I nie kończąc jeszcze na tem,
 «Tak uprzejmie, tak ponętnie,
 «Tak ze wszech miar umiejętnie,
 «Tak ostrożnie i tak zręcznie,
 «A tak przedewszystkiem wdzięcznie,
 «Żeby nie widzieli sami,
 «Że są w niewolę oddani,
 «Ale byli przekonani
 «Że to oni rządzą nami...

- «Jak ich wojsko pobijemy,
 «Kraiki pozajmujemy,
 «I wznecimy popłoch taki,
 «Że się trząść będą jak żaki;
 «Wtedy ich wszystkich zwołamy,
 «Pełną amnestią ogłosim,
 «Najgrzeczniej siedzieć poprosim
 «I o zdrowie zapytamy;
 «I nie zmieniając nic zgoła,
 «Przeciwnie: wszystkie dokoła
 «Szanując zabawki stare,
 «Język, zwyczaje i wiarę;
 «Traktaty ich zdarłszy w szmatki,
 «Ogłosim, że każdy będzie
 «Panem u siebie i wszędzie,
 «Byle nam płacił podatki
 «I karmił kilku Chińczyków,
 «Którzy dzisiaj bez trzewików,
 «Bez pończoch nawet czasami,
 «Gołemi świecą łydkami.
 «Oto program jest mój główny,
 «Nie głupi, chociaż mój własny,
 «Krótki, a tem samem jasny:
 «Każdy każdemu jest równy.
 «Nikt nie zmuszon być Chińczykiem,
 «Anglik zostaje Anglikiem,
 «Szwed szwedem, prusak prusakiem
 «A. Austryak Austryakiem,
 «Każdy czem chce może zostać,
 «Mówić jak mu mowa droga,
 «Chwalić jak chce Pana Boga
 «I do nieba jak chce dostać,
 «Uczyć się wszelkiej nauki,
 «Wszelkie pisać banialuki,
 «I nie odpowie przed nikim,
 «Kto zwać mię będzie Chińczykiem.
 «Bo ja będę przedewszystkiem
 «Tego kraju, gdzie przyjadę.
 «I przyjmuję za zasadę
 «I być wszędzie i być wszystkiem;

- «W Paryżu będę blagować,
 «W Berlinie w knajpach burszować,
 «We Włoszech opery śpiewać,
 «W Londynie będę poziewać,
 «A tak każdemu pochlebię,
 «I mądrym nazwę każdego,
 «I uznam za potrzebnego,
 «Że się czuć będą jak w niebie.
 «I prędzej przyjmą pagody,
 «Nasze zwyczaje i mody,
 «Jak my ich frak, kapelusze,
 «Bardzo brzydkie przyznać muszę.
 «Bo ludzie ludzi niewolą
 «Nie kijem grubym, lecz papką,
 «Łatwą do ukłonu czapką
 «Dobrem słowem, mięką wolą.
 «Znam naród, który się kijem
 «Nie dał ogłaszać niczyjem,
 «A poczytam za zasługę
 «Zrobić zeń wiecznego sługę.
 «Wiem, że lubi sobie żarty,
 «Jeść, pić dobrze, paradować,
 «Przedewszystkiem popróżnować,
 «I dnie całe grywać w karty.
 «Przytem tak pochlebstwo lubi,
 «Że duszę swoją zagubi,
 «Straci wszystko, podrwi głowę,
 «Za pochlebne jedno słowo.
 «Tym otworzę dom mój cały,
 «Dam codzien sute śniadanie,
 «Potem obiad Mocium panie,
 «Z czternastu potraw wspaniały.
 «Dwieście stołów preferansa,
 «Dwieście kółek kontredansa,
 «A dla tych, którzy w kontuszu,
 «Węgierskiego wyżej uszu;
 «Wszystkim stosowna nagroda...
 «Za sześć bezików Szambelan,
 «Dziesięć bez atout kasztelan,
 «Za sto szlemów wojewoda!

- «Za kwandrans walca bez kolki,
 «Galopady zaś lub polki
 «Bez wytchnienia pół godziny,
 «Dla panien tytuł: Frejliny ;
 «Mężatkom, które w ogóle
 «Mężów swoich za nos wodzą
 «I ogromnie rządowi szkodzą,
 «Codzień tytuł po tytule :
 «Która była tylko księżną
 «Będzie u mnie arcyksiężną,
 «Wszystkie przerobię szlachcianki
 «Na hrabiny i hrabianki.
 «Młodzież ich zawezwę całą
 «Do korpusu kawaleryi
 «I brygady artyleryi,
 «Żeby z nich złoto kapało.
 «A każdemu z nich z osobna,
 «Powiem, że mi niepodobna
 «Obejść się, wśród prac mych tłumu,
 «Bez ich serca i rozumu.
 «Tym sposobem mianowicie
 «Wszystkich ich sobie pozyskam,
 «A choć głupców się naściskam,
 «Będę miał spokojne życie.
 «Nigdy żadnych rewolucyj!
 «A na miejscu kontrybucyi
 «Każdy ostatnie trzy grosze
 «Odda chętnie jak poproszę.
 «Oto według mego zdania
 „Jest sensowna polityka,
 «Która obecnie zamyka
 «Cały sekret panowania,
 «I dowodzi, że rząd światem,
 «Kułakiem, kijem i batem
 «Jest głupstwem i że go wniosły
 «W politykę same osły.
 «Wszystko jest zatem gotowe,
 «Jutro rozkazy wydane,
 «Za miesiąc wojsko zebrane,
 «Za dwa wyruszymy w drogę.

«Jechać daleka dość droga,
«Nie wątpię, że z wolą Boga
«W zamiarach się mych nie zbłąźnię,
«I tym panom utnę łąźnię.
«Zamykam więc posiedzenie
«A jako usług zapłatę
«Proszę dzisiaj na herbatę
«Wszystkich panów uniżenie»
Oto jest relacya cała
Sessyi, która miejsce miała
W Chinach głupich niesłuchanie
W lat paręset po Sedanie. — /



H U R K O.

Otóż Bałkany! — Z tej strony pokryte
Śniegiem i lodem, lecz po tamtej stronie
Pola różami jak dojrzyć okryte
Piękne kobiety, i stroje i konie.
I Sztambuł pyszny i Bosfor błękitny,
I sława temu, który je zdobędzie
Siłą oręża i na aksamitnej
Ławie z Sułtanem do kawy zasiędzie.

Ej Hurko, Hurko, zawrzała krew w tobie
Pradziadów twoich leżących już w grobie.

Oj znali oni Turków, wzajem Turki,
Znali ich dobrze groty i pancerze,
Bo inni byli całkiem wtedy Hurki,
Nie niewolnicy, jak ty, lecz rycerze,
Nie rozbójnicy jak ty, lecz wyznawcy
Zasad wolności i rycerskiej wiary,
Nie napastnicy ludów, ale zbawcy,
Nie katy dzikie, lecz szczytne ofiary!

Ej Hurko, Hurko, nie chwal się przed nikim
Przodkami twymi! — jesteś niewolnikiem.

Lecz mimo carskiej, którą nosisz skóry,
Co rozum, serce i sumienie głuży,
Polskiej nie zmienić odrazu natury,
I na moskiewską nie przemienić duszy!
Z kordem człek w dłoni polakiem się czuje,
I w środek szyków jako piorun wpadnie,

Ale bezbronnych ludzi nie morduje,
 I po moskiewsku bezczelnie nie kradnie.
 Ej Hurko, Hurko, co chcesz gadaj sobie,
 Jeszcze cokolwiek polskiego jest w tobie.

Kto poledz zacnie już się nie spodziewa
 Za kraj swój własny, niech będzie gotowym
 Zginać za Cara, i za Ignatiewa
 I za panslawizm z dzikim Aksakowem.
 Wpierod rabiata! Hurra! za Bałkany
 Bez naszej garstki świat ten nie przepadnie,
 Każdy niech idzie przed sobą jak pijany,
 Przejdzie to przejdzie, a padnie to padnie!
 Ej Hurko, Hurko, a nuż jakim trafem
 Ty, polski szlachcic, carskim będziesz grafem.

I przeszli Bałkan, przeszli go bez strzału,
 A choć tysiące na drodze zostało
 Ofiar niewoli lub wściekłego szału,
 Który u głupich nazywa się chwałą,
 Przeszli go w imię tej niby swobody,
 Niesionej ludom przez białego Cara,
 Pod hasłem, którem dotychczas narody
 Durzyć się zwykły: Ojczyzna i Wiara!
 Oj Hurko, Hurko, wszak ty wiesz co znaczą
 Te słowa, wbite nahajką kozaczą.

To też choć cudów odwagiś dokazał,
 I choć cię za to grafem mianowano,
 Los ci tryumfów odmówił, a kazał
 Jak lokajowi stanąć w San Stefano;
 Gdzie w przedniej straży gwałtu i rozboju,
 Na dobre imię nawet nie zasłużysz,
 Bo sługa płatny w brudnym przedpokoju,
 I nędznej sprawie, i złym panom służysz.
 Ej Hurko, Hurko, postawiłeś nisko
 Piękne twe stare szlacheckie nazwisko!

BISMARCK I KULTURKAMPF.

Wszystkich u nas niepowodzeń
Wszystkiego złego przyczyna,
Chorób, klęsk, ciała uszkodzeń
Zawsze jedna i jedyna,
To jest Bismark. Niech ci z garnka
Wykipi rosół z jarzyną,
Pewnie to winą Bismarka } bis
I Kulturkampfu to winą. }

Zgrał się ktoś jak skrzypce w karty,
Lub zadłużył się po uszy,
Ma surdut w łokciach wytarty,
I ani grosza przy duszy,
Zmarzła komuś w polu jarka,
Lub zawiodła koniczyna,
Pewnie to wina Bismarka } bis
Pewnie Kulturkampfu wina. }

Miałeś dobra, las, kapitał
Kredyt, dobrą sławę człeka,
Každy się za czapkę chwycił
Jak cię zobaczył zdaleka:
Ale chciało się z folwarka
Zrobić coś nakszałt Berlina,
Pałac, — to wina Bismarka,
Meble, — Kulturkampfu wina,
Srebra — to wina Bismarka
Bronzy — Kulturkampfu wina.

Żona z córkami pół świata
 Dla bontonu obleciały,
 W Ostendzie spędzają lata,
 A w Warszawie karnawały,
 Wszystkie rujnuje modniarka,
 Syn się w Monte Carlo zrzyrna,
 Naturalnie to Bismarka } bis
 I Kulturkampfu to wina. }

Angielskie miałeś wierzchowce,
 Prześliczne cugowe konie,
 Za to nędzne krowy, owce,
 I jakieś wywłoki w bronie,
 A i z tych zaledwie parka
 Lepsze czasy przypomina...
 Czyż nie wina to Bismarka? } bis
 Czyż nie Kulturkampfu wina? }

Sprzedałeś dobra niemcowi
 Skutkiem złej administracyi,
 Las twój dostał się żydowi,
 Za pół darmo z subhaścacyi ;
 O procenta się wekslarka
 Natarczywie upomina...
 Czyż nie wina to Bismarka? } bis
 Czyż nie Kulturkampfu wina? }

Osiadłeś na bruku w mieście
 Z resztkami kapitaliku,
 Jejmość jak pulardka w cieście
 Zadaje ci w świecie szyku.
 Cudowna z niej jest kwestarka,
 Choć o kuchni zapomina,
 Wina to czyjaż? Bismarka, } bis
 Razem Kulturkampfu wina. }

Bez posagu panny obie
 W Jezusowe zaszyły latka,
 Powtarzając codzien sobie:
 Jakiż osioł z tego tatka;

Jedna z nich sławna plotkarka
 Druga tyć strasznie zaczyna,
 Naturalnie to Bismarka }
 I Kulturkampfu to wina. } bis

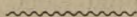
Zacząłeś popijać z biedy:
 Z początku lampeczka wina,
 Potem koniak, rum niekiedy,
 Wreszcie podła gorzalina,
 Bo za słaba nawet starka...
 A że z ciebie pijaczyna,
 Wina to czyjaż? Bismarka, }
 A i Kulturkampfu wina. } bis

Psuje ci się całkiem zdrowie,
 Przy nudnościach ślad gorączki,
 Nieporządek jakiś w głowie,
 Zdaje się jakby zajączki,
 Masz się czasem za Petrarka,
 Niekiedy za Lamartina,
 Czyż nie wina to Bismarka? }
 Czyż nie Kulturkampfu wina. } bis

Prócz poezyi cię napada
 Fantazyja spekulowania,
 Polska także czysta wada.
 Z manią politykowania;
 Pleciesz jak stara kucharka,
 Lecz niech nikt nie zapomina,
 Że to wina jest Bismarka }
 Że to Kulturkampfu wina. } bis

Umierasz wreszcie w szpitalu,
 Albo też w domu waryatów,
 Ostatnim zwykle lokalu
 Tego rodzaju magnatów,
 Pochowanych za talarka,
 Pod śpiew księdza Bernardyna...
 Czyż nie wina to Bismarka }
 Czyż nie Kulturkampfu wina? } bis

Słowem, nikt mi nie zaprzeczy,
Na świadectwo biorę panów,
Niema złej na świecie rzeczy,
Bez udziału tych szatanów;
Przez nich gaśnie ci latarka,
Przez nich dym ciągnie z komina
Deszcz pada—wina Bismarka) bis
Sucho — Kulturkampfu wina.(



W A R S Z A W A.

[Niedowiarki, czcze umysły,
Pletą nam rozprawy,
Że na tamtym brzegu Wisły
Niema już Warszawy.

Że źdżiczała, jak nie swoja,
Wszędy chwast i trawy,
Że nec locus ubi Troja
Z tej dawnej Warszawy:

Że o los biednego miasta
Pełni są obawy,
Że pleśnią i mchem porasta
Każden gmach Warszawy.

Ale byłem sam, widziałem.
Choć tęskniejsza, łzawa,
Choć nie taka jak ją znałem,
Ale jest Warszawa!

Wszędy ludno, wszędy tłumnie,
Aż oczom ciekawie.
I król Zygmunt na kolumnie
Jak dawniej w Warszawie.

Nie zgniecona do ostatka,
Nie Płock to, nie Mława,
Tem mniej Symbirsk, albo Wiatka,
Zawsze to Warszawa!

Czy w powszedni dzień, czy w święta
 Na ulicach wrzawa,
 I choć biedna, choć ściśnięta
 Zawsze to Warszawa!

I choć strudzisz swoją stopę
 Do znużenia prawie,
 Zawsze znajdziesz Europę,
 Nie Chiny w Warszawie.

Gdzie nie spojrzeć dziś na twarze,
 Babuleńki żwawe,
 Staruszkowie gawędziarze
 Na całą Warszawę;

Krzepkiej młodzi grono liczne
 Na każdej zabawie,
 A kobiety takie śliczne
 Jak zawsze w Warszawie!

A pocziważ to natura:
 Co krok taniec prawie,
 A tak samo rzną mazura
 Jak dawniej w Warszawie.

Choć ją nieraz srodze nęka,
 Uciska dłoń krwawa,
 Łzę uroni, lecz nie stęka
 Pocziwa Warszawa.

To też nie źle sobie żyją,
 Stroją w pióra pawie,
 Jedzą smacznie, tego piją,
 Bo jest co w Warszawie;

Trudno tam o kęsie chleba
 I o lichej strawie,
 Lecz bogatym czego trzeba
 W rozkosznej Warszawie?

Czy ci kieszeń tylko starczy
 O to bądź w obawie,

A wszystkiego ci dostarczy
 Stępkowski w Warszawie.

Bo gdzie znajdziesz takie raki,
 I gdzie taka kawa,
 Pieczeń z różną albo flaki,
 Jakże ma Warszawa?

Nieraz słyszeć się zdarzyło:
 Plotkarska, ciekawa, —
 Lecz gdyby plotek nie było
 Byłaby Warszawa?

Zawsze jak w cenzurowanym
 Ktoś siedzi na ławie,
 Wyjdzie jak z łaźni skąpanym
 I... cicho w Warszawie.

Choć zabawka ta dla śmiechu
 Smakuje gorzkawie,
 Ale w świecie któż bez grzechu?
 Tembardziej w Warszawie!

Niechże się wesoło bawią
 Ku ludzi poprawie,
 Choć tem nigdy nie naprawią
 Nikogo w Warszawie.

Mimo wszelkich wykrzykników
 W moralności sprawie,
 Zawsze swoich zwolenników
 Diabeł miał w Warszawie.

Żeby ludzkość była płocha
 Chce, bo sam ciekawy,
 A że ktoś tam w kim się kocha
 Co to dla Warszawy!

Albo to, że ktoś próżniaczy
 Po dniach całych prawie,
 Tych w rachunkach swoich znaczy
 Bouquerel w Warszawie;

Jednak z pewnych nieba znaków
 Sto za jeden stawię:
 Za sześć wieków mniej próżniaków
 Będzie już w Warszawie!

Także nierzadko się zdarza
 Przy nabytej wprawie,
 Rozpoznać typ pieczeniara
 Zwykłego Warszawie!

Gościnności któż nie ceni
 Danej nam łaskawie?
 Ja sam na cudzej pieczeni
 Żyłbym rok w Warszawie.

W teatrze stary Żółkowski
 Wywołuje brawa,
 U nóg ślicznej Modrzejewskiej
 Calutka Warszawa.

Gdy Moniuszko lutnię trzyma,
 Pod ton jego łzawy
 Wzniosłe śpiewa Deotyma
 Mieszkańcom Warszawy.

Są odczyty mądrych rzeczy,
 Sztuk pięknych wystawa,
 Słowem nikt mi nie zaprzeczy,
 Że to jest Warszawa.

I choć nieraz wszystkich więzi
 Brak wszelkiej ustawy,
 Zdolności w każdej gałęzi
 Znajdziesz wśród Warszawy.

Choć pozornie nietroskliwa,
 Ale w gruncie prawa,
 I na litość się zdobywa
 Najchętniej Warszawa.

Zacni ludzie, piękne panie,
 Bez ujmy zabawie
<http://rcin.org.pl>

Rozdają obiady tanie
 Ubogim w Warszawie.

I nie jeden siwobrody
 Tułacz w nędzy prawie,
 Znalazł domowe wygody
 I pomoc w Warszawie.

A studenci owi biedni,
 Może płaszcz w zastawie,
 Ale mają chleb powszedni
 W tej zacnej Warszawie.

Przebaczasz im, że tańczą
 I stroją jaskrawie,
 Gdy tak robią i tak czują,
 Ludziska w Warszawie!

Sam sobie nie zdajesz sprawy
 I znika obawa,
 Bo mówią: niema Warszawy!
 A tu jest Warszawa!

Jest dobra, jest niespodlona,
 Pracowita, żwawa,
 Ucząca się i uczone
 Słowem jest Warszawa.

Szczęść ci Boże, dobrym bytem,
 Szczęść ci dobrą sławą,
 I wytrwaniem w bólu skrytym
 Poczciwa Warszawo.



PRZEZ OKNO.

Tyle codziem słyszę rozpraw i namiętnych krzyków,
Wyznań wiary politycznej, miary zawsze jednej,
Tyle wciąż patriotycznych różnych ogólników
I oświadczeń się z miłością dla tej Polski biednej,
Że siadłszy sobie przy oknie, wygodnie w szlafroku,
Wszelkie na bok odrzuciwszy nieufności względy,
Będę sobie obserwował przez to szkiełko w oku:
Kto też zajęty ojczyzną z przechodzących tędy.

Nie zajęty nią zapewne ten chłop z kogutami,
Ani tamten, z wozem pełnym drewek na podpałkę,
Ani te trzy baby z masłem, ni tamta z jajami.
Ani ci dwaj zmierzający prosto na gorzałkę,
Ani ten lokaj w liberyi i butach koślawych,
Prawiący jakieś dusery tej pannie z szynionem,
Ani ten w łatanej kurtce i spodniach dziurawych,
Ani ta jejmość z sążnistym u sukni ogonem.

Ani ten pan z siwą brodą, który tylko zda się,
Chciałby co prędzej się pozbyć żyda, co go goni;
Ani ten pseudo-polak, z tą kłamrą na pasie
Z patriotyzmu godłami orła i pogoni
Lecz razem z powierzchownością tak nie nazbyt zucha,
Przytem z gębą tak skrzywioną i nosem spuchniętym,
Iż widać, że przy nastroju najsilniejszym ducha,
Niczem innem jak swą fluxyą musi być zajęтым.

Może ten młody elegant z bakami długimi
A l'anglaise i z całym szykiem krakowskiego dandy,

Ale nie, on tylko śledzi kroki mierzonymi
 Ruchy idącej po przedzie ładnej panny Wandy.
 Panna Wanda też nie myśli zgoła o ojczyźnie,
 Mając dziedzica dwóch wiosek za sobą tak blisko;
 Kwestya ważna: da się złowić, lub też się wysłiznie?
 Partja dobra, niezły fundusz i dobre nazwisko...

Aha, powóz, w nim dwóch hrabiów i hrabicz na przedzie,
 Wszyscy trzej w białych krawatach, o tych się ośmielę
 Wnieść, że myślą, czy u księżnej dzisiaj na obiedzie
 Będzie Saute'au truffes tak jak w przeszłą niedzielę
 Młody hrabia w tejże chwili dwa pytania sobie
 Zadaje, na które próżno odpowiedzi czeka:
 Jak zapłacić pewną sumkę przegraną dziś w klubie
 I czy ojca panny Julii pewna hipoteka?

Za nim znów widzę hrabia (hrabiów tu dostatkiem,
 Często takich, że człek mało z miastem obeznany,
 Zadaje sobie pytanie, czy nie ma przypadkiem
 Jakich fabryk na ten produkt tak potrzebowany,
 Chociaż tak mało potrzebny); ten wąpię też bardzo,
 By zajmować się ojczyzną raczył, zwłaszcza w chwili
 Kiedy Figaro, Debaty z Neue Presse gardzą,
 Kwestyą, która o swe prawa dopomnieć się sili.

On musi się zastanowić nad tem, że ma żonę
 Elegantkę, cztery córki z zagadkowem wianem
 Syna osła, potrzeb dużo, dobra odłużone,
 A znikąd grosza kredytu, choć jest wielkim panem.
 I że wkrótce musi żonie posłać do Ostendy
 Grubą sumę, bo inaczej w złym będzie humorze,
 I że na to musi, siak tak, tędy lub owędy,
 Zebrać więcej jak ma w kasie, a nawet mieć może.

I nie krajem też zajęci ci dwaj pantoflarze
 Żyjący tylko na świecie na to, aby żonę
 Zaprowadzić tam gdzie zechce, zawieść tam gdzie każe
 I odwieść lub odprowadzić w porę oznaczoną.
 W trakcie tego, myśleć mają prawo o czemkolwiek
 Choćby o Turcyi rozbiorze, lub Serbów obronie

Nawet (jeśli czasu staje) o Polsce cokolwiek
 Byle tylko przedewszystkiem myśleli o żonie.

Patrzcie, idzie radca miejski, ale taki który
 Radzi tylko, aby Kraków z wyroków przedwiecznych
 Zasługiwał na opinią najbrudniejszej dziury
 Z wszystkich miast prowincjonalnych i pseudo stołecz-
 Wbrew przeciwny wodociągom i kanalizacyi, [nych
 Nieprzyjaciół utrzymanych z niemiecką ogrodów,
 Gardłował przeciw Sukiennic głośno restauracyi,
 I nigdy we własnym domu nie dał wymyć schodów.

Ci dwaj młodzi w okularach, a z pincenezem trzeci
 Wszyscy trzej trochę garbaci i nadzwyczaj mali,
 Stulecia dziewiętnastego i postępu dzieci,
 Przed dwudziestym rokiem życia czują się dojrzały,
 No i wielcy, z czego wnoszę, że muszą się krajem
 W chwilach wolnych od bilardu zajmować troskliwie,
 W charakterze publicystów, byleby nawzajem,
 Kraj ich czcił, a ich ramoty czytywał skwapliwie.

· · · · ·
 · · · · ·

Tak, że gdyby się życzenia tych stronnictw ziściły
 Z całej Polski, w krótkim czasie sameby zostały
 Żydy, i ta garstka chłopów, których nie zniszczyły
 Wódka, lichwą i podstępem dotąd ich kahały.
 To też zdaniem mojem taka opieka losami
 Naszemi, równać się może w poprawnym okazie,
 Nie tylko rządowi moskiewskiemu, z knutem i pałkami,
 Ale nawet cokolwieczek morowej zarazie.

Skoro więc tyle jest tylko tych, co razem wzięci,
 Mniej w kraju robią porządku, jak zgrozy i krzyku,
 Inni zaś są sami sobą zupełnie zajęci,
 I tyle myślą o Polsce, co o Mozambiku,
 Próżnoby siedział przy oknie i napróżno czekał,
 Z nosem prosto wymierzonym w środek trotuaru.
 Patryoty bym się nigdy na nim nie doczekał,
 A nawąchał tylko smrodu i dostał kataru.

SAN STEPHANO.

W San Stephano, San Stephano,
Pokój stały podpisano,
Nikogo się nie pytano,
Turcyę całkiem rozebrano!
I myślano i myślano,
Że ten pokój w San Stephano
Jest komedią rozegraną
Ostatecznie w San Stephano.

Ale w pewne piękne rano
Z boleścią się przekonano,
Że ten spokój w San Stephano
Mało gdzie na seryo brano.
Choć Turek ugiął kolano,
I przyjął co mu kazano,
Wszędzie tylko się rozśmiano
Z tej parodyi w San Stefano.

Anglia mówi; w San Stephano
Zrobiliście rzecz na piano,
Bo w niej całkiem zapomniano,
Rzecz powszechnie przecież znana,
Że trzeba wstać bardzo rano
I mieć w głowie chyba siano,
By rzecz nieprzygotowaną
Złović w jakimś San Stephano!

Austria mówi: piano, piano,
Ten wasz pokój w San Stephano,
Nie jest rzeczą obmyślaną
Mente in corpore sano:

Dalibyście w chwilę daną
 Nam ostatnich głupców miano,
 Gdyby w Wiedniu nie wyśmiano
 Waszej furdy w San Stephano.

Bismark mówi: w San Stephano,
 Widzę tę Moskwę kochaną,
 Z quintum sensum tak obraną
 Jak jej nigdy nie widziano;
 Wlazła w sieć przygotowana
 Tak, że nawet już Bratiano
 Gierka i Kogolniczano,
 Kpią z traktatu w San Stephano!

Nawet pono nad Sekwaną
 Gdzie niedawno tak ściskano,
 Z uwielbieniem za kolano,
 Każdą ruską modrą pianą,
 Dziś już cokolwiek poznano
 Tę lisiurkę farbowaną,
 Którą za sobole brano
 Przed traktatem w San Stephano.

A i Włoch cum salis grano,
 Którą dawną w nim poznano
 Ad juvante Vaticano
 Gdzie też nic nie zapomniano,
 Widzi Moskwę uwielbianą,
 W ów niewodek zaplątaną,
 Który przedwcześnie nazwano.
 Jej tryumfem w San Stephano.

I na rybę w kul zagnaną,
 W cały komplet się zebrano
 Sznury niewodu rozdano
 I kije do rąk pobrano;
 I byleby tylko chciano,
 Takby jej pieprzu zadano,
 Że sto lat by nie słyszano
 O traktacie w San Stephano.

SZEŚĆ RAZY OSIEM.

Zawsze słyszę że kobiety,
 Polskie z ukształcenia słyną,
 I że głównie ich zalety
 Z zasad wychowania płyną;
 Na mocy tego twierdzenia,
 Wszyscy bez namysłu wnosim,
 Że wiedzą bez zająknienia,
 Ile jest sześć razy osiem.

Bo że dokazują sztuki
 Prawie sześć godzin w przecięciu,
 W wszystkich gałęziach nauki,
 Obcych całkiem ich pojęciu,
 O tem wiemy, lecz niestety,
 Niemniej też usilnie prosim,
 O zdanie każdej kobiety,
 Ile jest sześć razy osiem.

Znosim bowiem ich dysputy,
 Moralne, filozoficzne,
 Na tle fantazyi osnute
 Lub ściśle psychologiczne;
 Lecz nie z mniejszą ciekawością,
 Nawet z uwielbieniem znosim,
 Gdy nam dowodzą z pewnością,
 Ile jest sześć razy osiem.

Głośmy więc ich pogląd zdrowy,
 Na wszyściutko co jest zgoła,

Od ufryzowania głowy
Aż do kwadratury koła,
Lecz tę w pracowni umysłu,
Za arcydzieło ogłosim,
Która powie bez namysłu
Ile jest sześć razy osiem.

Za pomnikiem zaś wotuję,
Tej biegłej w arytmetyce,
Która powołanie czuje,
Stosowania jej w praktyce,
Bo my z życia, jakem szczerzy,
Często dowody wynosim,
Że damskie dwa razy cztery
Stanowią czterdzieści osiem.

NIESZCZĘŚLIWE.

Trzy młode mężatki, przyjaciółki stare,
Tak sobie gwarzyły po ślubie w lat parę:
Zosieczku, Maryniu, moje wy poczciwe,
Powiedźcie mi szczerze, czyście wy szczęśliwe?
Jaki twój mąż Zosiu, jaki twój Marylko,
Czy uczuciem wyżsi, czy tak sobie tylko
Ludzie... — bo co do mnie, to rzecz niewątpliwa,
Że ja jestem bardzo... bardzo nieszczęśliwa!

Bo moje marzenia, te nasze marzenia
Miłości bez granic, szału, poświęcenia,
I jak chciał poeta życia uściskami,
Zlaniem dwóch oddechów, pocałowaniem,
Bez żadnej różnicy jesieni od lata
Dalej jak za koniec, bo po końcu świata,
Znikły jak sen piękny... bo Jaś mnie całuje,
Kiedy siedzi w domu, i jak nie poluje!

— Toż samo i ze mną, pamiętasz, bywało
Nie śpiemy na pensyi niekiedy noc całą,
Nowe Beatrice, Maryla i Laura,
Marząc w przyszłym mężu korsarza lub Giaura;
Mój Michał niestety! od tego daleki,
Zostać bohaterem zarzekł się na wieki,
I raz tylko w życiu miał postać korsarza,
Jak za drzwi wypychał żyda arendarza.

— Te wasze zawody, słowo w słowo moje,
I jam też marzyła, że kiedyś we dwoje

Z pięknym jakim Alfem, i jak świat ten wielki,
 Na morskiem wybrzeżu, dwie rosy kropelki,
 Schowani w zaciszu, żyć będziem dla siebie
 Przez nieba wybrani, szczęśliwi jak w niebie.
 Mój Marek tymczasem, taka dola nasza,
 Nad wszystkie wybrzeża, woli jeryłasza!

A któryż z nich wierny? — Żaden! — Ach drzę cała,
 — O znam ja z tej strony mojego Michała,
 — Jan byle twarzyczka jak na szrubach cały...
 — Marka aż trzy razem sobie wrywały!
 — Wietrznicy! — O zdrajcy! — Zmienni! — Samoluby!
 — Niepomni na święte przed ołtarzem śluby!
 — Istoty bez serca! — plemie niegodziwe,
 — O! my nieszczęśliwe! — ach my nieszczęśliwe!

I tu trojga naszych pięknych Beatrice
 Bolesci się łzami zalało oblicze,
 Trzy główki wymowne rozpaczy wyrazem,
 Jak kwiecie podcięte schyliły się razem;
 I może by dotąd we łzach je widziano,
 Gdyby lokaj nie wszedł, że do stołu dano.
 Wstały zatem, poszły, smaczno obiad zjadły,
 I gębę utarłszy, znowu płakać siadły.



K.778

